

ks. Władysław Przybyś

HOMILIE ŚLUBNE

Wydawnictwo UNUM
Kraków 2003

Może się wydawać, że nowożeńcy wstępujący na ślubny kobierzec są tak bardzo pochłonięci samą uroczystością, że wszelkie kierowane do nich słowa wydają się być zbędne. Tymczasem w dniu zawarcia sakramentu małżeństwa rozpoczyna się dla nich bardzo ważny czas budowania rodzinnego szczęścia. W zależności od tego, jak w tym okresie małżonkowie odpowiedzą sobie na wzajemne oczekiwania, jak dopasują się do siebie, jak ukształtują swoje małżeńskie role i jak zaplanują wspólne życie, tak będzie rozwijało się ich osobiste i wspólne szczęście. Do zbudowania trwałego szczęścia w małżeństwie nie wystarczą same uczucia czy podjęcie jednorazowej decyzji. Potrzebne jest oparcie się na mądrości nie tylko ludzkiej, ale przede wszystkim Bożej. Nie należy więc rezygnować z przekazania nowożeńcom wyjaśnienia usłyszanych podczas liturgii słowa tekstów Pisma Świętego. *Homilie ślubne* to propozycja ponad dwudziestu homilii do poszczególnych tekstów przewidzianych w formularzach liturgicznych sakramentu małżeństwa, których autor, podejmując problemy związane z okresem życia małżeńskiego, stawia sobie za cel rzucić Boże światło na dalszą drogę nowożeńców.

Boży plan małżeństwa

(Rdz 2, 18-24; Mt 19, 3-6)

Drodzy Nowożeńcy! Dzień... nie zapisze się w pamięci wszystkich ludzi, ponieważ jest jednym z wielu tak bardzo podobnych do siebie dni życia. Jest jednym z szarych, zwyczajnych dni ludzkiej doli i niedoli.

Dzień... zapamiętacie wy, drodzy Nowożeńcy, i będziecie do niego wiele razy wracać, ponieważ dzisiaj kończy się wasz dotychczasowy etap życia i zaczyna coś zupełnie nowego. Jak będziecie wracać do dzisiejszego dnia? Z radością czy smutkiem? Zależy to od tego, jak przyjmiecie Boży plan odnośnie do małżeństwa, wyjęty z pierwszych kart Pisma Świętego, a odczytany w pierwszym czytaniu dzisiejszej liturgii słowa. Brzmi on: „Mężczyzna opuszcza swego ojca i matkę swoją i łączy się ze swoją żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem” (Rdz 2, 24). Do tego planu nawiązuje sam Jezus w dzisiejszej Ewangelii. Na Boży plan składają się trzy elementy, które są bardzo istotne w małżeństwie: opuszczenie, połączenie się i stanie się jednym ciałem. Jak rozumieć te trzy elementy?

1. Najpierw opuszczenie ojca i matki. Gdy wypowiedzam te słowa, na pewno odczuwacie ból w swoim sercu, Nowożeńcy i Rodzice. Na pewno nie jest to czymś wesołym i dlatego na uroczystościach ślubnych często widzi się łzy w oczach. Opuszczenie swojej rodziny jest ceną szczęścia w małżeństwie. Podobnie jak nie może rosnąć i rozwijać się nowo narodzone dziecko, zanim nie zostanie odcięta jego pępowina, tak nie może wzrastać i rozwijać się małżeństwo, zanim nie nastąpi rzeczywiste odejście, wyraźne oddzielenie od swojej rodziny.

Trzeba przyznać, że jest to sprawa także trudna. Trudno jest dzieciom pozostawić swoich rodziców. A jeszcze trudniej jest rodzicom pogodzić się z odejściem dzieci. Rodziców można porównać do kwoki wysiadującej kacze jaja. Gdy po wykluciu się kwoka przyprowadza je do sadzawki, kacząta raptem odpływają od niej. Tymczasem kwoka nie może iść w ich ślady. Bezradnie stoi na brzegu sadzawki, przestępuje z nogi na nogę i bezskutecznie nawołuje swoje stadko do powrotu. Jeżeli jednak nie nastąpi prawdziwe opuszczenie, małżeństwo będzie narażone na stały kryzys, a nawet zniszczenie. Jest to szczególnie aktualne wtedy, gdy młodzi małżonkowie nie mają możliwości zamieszkania samodzielnie, zupełnie niezależnie od swoich rodziców, bo istnieje wielkie niebezpieczeństwo stałego wtrącania się teściów w ich

sprawy. Mówiąc o opuszczeniu nie mam na myśli pozostawienia rodziców na łasce losu. Opuszczenie nie oznacza porzucenia osób tak bliskich, jak matka i ojciec. Co więcej, prawdziwe opuszczenie i prawdziwe pozwolenie na odejście, nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne, tworzy sytuację sprzyjającą wzrastaniu miłości między rodzicami i dziećmi i odpowiedzialności dzieci za rodziców oraz służenia im.

2. Swoje środowisko winni opuścić i żona, i mąż, bo tylko wtedy jest możliwe przyłączenie się do siebie. Hebrajskie słowo *daba* przetłumaczone przez „łączy się” znaczy coś więcej: przyklepić się, złączyć się w miłości (por. np. Rdz 34, 3). Mąż i żona są sklejeni ze sobą jak dwa kawałki papieru. Jeżeli ktoś chce rozerwać te sklezione ze sobą kartki papieru – zniszczy obie. Jeżeli ktoś usiłuje rozłączyć męża z żoną, kaleczy obie strony; a jeżeli są już dzieci, to je także. Rozwód oznacza więc wzięcie piły i rozpiłowanie małżonków i dzieci na połowy od głowy do stóp.

Dzięki temu wzajemnemu złączeniu staniecie się bliżsi sobie niż wszystko i wszyscy. Bliżsi niż wszystko: jest to ważniejsze niż praca zawodowa i wszystkie pozostałe sprawy waszego wspólnego życia i dlatego dorabianie się czy kariera nie może zagrażać waszej bliskości.

Dzięki temu wzajemnemu złączeniu się będziecie sobie bliżsi niż ktokolwiek inny. Jest to ważniej-

sze od przyjaciół męża i przyjaciółek żony, ważniejsze od gości, a nawet ważniejsze od własnych dzieci. Dlatego młoda żona popełnia błąd, gdy po urodzeniu dziecka staje się bliższa niemowlęciu niż mężowi. Jeżeli dziecko staje się centrum jej życia, mąż czuje się coraz bardziej wyobcowany z rodzinnego życia i następuje jeden z najpoważniejszych kryzysów życia małżeńskiego i rodzinnego.

3. Wskutek wzajemnego złączenia się męża i żony, są oni najbliżsi sobie w całym świecie: stają się jednym ciałem. Ponieważ akcent spoczywa na zaimku liczebnym „jeden”, dwie osoby stanowią nierozzerwalną jedność. Również słowo „ciało” nie powinno nasuwać wyłącznie motywu cielesnego współżycia, gdyż w języku hebrajskim ciało oznacza przede wszystkim człowieka całościowo pojętego, stanowiącego jednostkę, osobę. Stąd stać się jednym ciałem jest czymś więcej, aniżeli zjednoczenie fizyczne. Oznacza to, że dwie osoby dzielą się wszystkim, co posiadają, a więc nie tylko ciałem i majątkiem materialnym, ale też swoimi myślami, uczuciami, radością, cierpieniem, nadziejami, obawami, powodzeniami i niepowodzeniami. Dwie osoby stają się całkowicie jednym ciałem i duchem, czyli doskonałą jednością obejmującą całą osobowość zarówno mężczyzny, jak i kobiety, a jednak pozostają dwiema różnymi osobami. Stawanie się „jednym ciałem” nie jest jednak czymś,

co otrzymuje się natychmiast i na stałe; to stawanie się jednością jest długim procesem i stanowi wasze zadanie na resztę życia.

4. Gdy dzisiaj wszyscy wasi bliscy składają wam życzenia, chciałbym w imieniu Kościoła i własnym serdecznie wam życzyć, abyście budowali swoje małżeństwo według Bożego planu, czerpiąc do tego moc od Pana poprzez codzienną modlitwę, niedzielną mszę świętą i komunię świętą.

Małżeństwo sakramentem (Ef 5, 2a. 25-32)

Drodzy Nowożeńcy! Jakże wielkie szczęście rysuje się na waszych twarzach, ponieważ pewnego dnia wasze życiowe ścieżki się spotkały, a w waszych sercach zapłonęła wzajemna miłość. Gdy zaś zapłonęła w waszych sercach miłość, jakby słońce ożywiło tyśiącami barw ponury świat dotychczasowego życia, a w waszych sercach rozlała się ogromna radość i szczęście. I dlatego tak bardzo chce się wam uśmiechać, śpiewać i tańczyć.

Ta miłość pozwoliła wam też pokonać różne przeszkody piętrzące się na waszej drodze i dlatego możecie dzisiaj tę miłość wyznać przed Kościołem i przysiąc sobie przed Bogiem. Bajkowe opowiadania ukazujące przezwyciężenie różnych życiowych perturbacji przez zakochanych w końcu sfinalizowane małżeństwem, kończą się stwierdzeniem: „A potem żyli długo i szczęśliwie”. Tak jest jednak tylko w bajkach. W życiu jest inaczej: małżeństwo to nie szczęśliwa meta, ale dopiero start!

Teraz czeka was ogromny wysiłek pokonywania swojego egoizmu, aby wasza miłość nie wygasła, ale stała się głębszą i dojrzałą. Bo inaczej przestalibyście żyć z sobą, a zaczęlibyście żyć obok siebie.

Takie życie zaś jest koszmarem, bo rzadko kiedy efektem zniszczenia miłości jest obojętność. Najczęściej jest straszliwy żal do współmałżonka i nienawiść, i to tak wielka, że aż trudno spotkać równą w ludzkim życiu. Stąd i w waszych sercach nie brak obaw, a nawet strachu: „Czy nie zawiedziemy siebie nawzajem?”.

Nie traćcie jednak ducha optymizmu, bo nie jesteście sami. W pierwszym czytaniu z Listu św. Pawła do Efezjan słyszeliście słowa wzięte przez Apostoła Narodów z Księgi Rodzaju: „Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem” (Ef 5, 31, por. Rdz 2, 24). Święty Paweł dodaje: „Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i Kościoła” (Ef 5, 32). Co chce przez to powiedzieć wam apostoł Paweł? „Tajemnicę” stanowi to, że związek małżeński Adama i Ewy jest obrazem i zapowiedzią tajemniczego związku Chrystusa z Kościołem. A zatem każde małżeństwo, wasze także, będąc reprodukcją tamtego pierwszego „u źródeł czasu”, jest widzialnym, chociaż tajemniczym odnowieniem i obrazem miłości Chrystusa i Kościoła.

Jak wiele to znaczy w waszym życiu, rozumie się dopiero wtedy, gdy uświadomimy sobie, co znaczy być

„obrazem” w języku chrześcijańskim. Otóż wyrażenie „być obrazem” nie wyraża tylko idei pewnego podobieństwa, bo obraz jest nie tylko „ilustracją” oryginału, która pozwala poznać jego naturę. W języku Biblii istota oryginału jest obecna w obrazie poprzez pokrewieństwo wewnętrzne. Stąd i wy stając się obrazem więzi Chrystusa i Kościoła, zostaniecie włączeni w tę więź miłości. Stąd też i wasza miłość jest włączona w obszar Bożej miłości. W ten sposób miłość małżeńska – jak uczy papież Jan Paweł II – doznaje oczyszczenia i uświęcenia. Tę miłość Pan nasz zechciał szczególnym darem swej łaski i miłości uzdrowić, udoskonalić i wywyższyć (adhort. *Familiaris Consortio*, 56).

Dar Jezusa Chrystusa nie wyczerpuje się w samym sprawowaniu sakramentu małżeństwa – uczy dalej Ojciec Święty – ale towarzyszy małżonkom przez całe ich życie (adhort. *Familiaris Consortio*, 56). Chrystus Pan, który będzie od dziś szedł razem z wami przez życie, nie będzie wśród was konkurentem czy zagrożeniem, lecz jedyną szansą dla waszej jedności i więzi. Będzie was jednoczył w świętą wspólnotę. Dobrze to zrozumiał pewien chłopiec, który przy pożegnaniu przed odjazdem do wojska dał mojej uczennicy krzyżyk z napisem na odwrocie: Halina + Chrystus + Marek. Szczególnego ubogacenia dozna wasza miłość, bo „Duch, którego Pan użył – uczy Ojciec Święty Jan Paweł II – daje nowe serce i uzdalnia mężczyznę

i kobietę do miłowania się tak, jak Chrystus nas umiłował” (adhort. *Familiaris Consortio*, 13).

Czuję, że w tym momencie chcielibyście mi przerwać i zapytać: jeżeli Chrystus tak bardzo ubogaca miłość małżonków, to dlaczego tylu małżonków, którzy zawarli sakrament małżeństwa, stało się okrutnymi dla siebie, a niektórzy nie wytrzymali tego piekła i dlatego zdecydowali się na rozwód? Otóż sakramentalny obrzęd nie gwarantuje niczego – ani szczęścia bycia ze sobą, ani dojrzewania i wzrostu miłości – jeśli przyjmuje się go w poczuciu magicznego niejako działania Bożych mocy. Z Bożą mocą trzeba wciąż współpracować, bo inaczej stanie się talentem nieużytecznym. Jak to czynić? Można to porównać do następującej sytuacji: w dzień ślubu bogaty wujek wkłada na wasze konto duże miliony dolarów, ale jako małżonkowie nie możecie tej kwoty podjąć na raz w całości, lecz musicie codziennie podejmować część. Coraz to nową część Chrystusowego wkładu na wasze konto podejmować będziecie poprzez codzienną bliskość z Panem. Nie tylko poprzez modlitewny kontakt, ale także – a właściwie przede wszystkim – poprzez obustronny wysiłek, aby się wzajemnie miłować, jak Chrystus umiłował Kościół (Ef 5, 25), albowiem z tegoż sakramentu – jak uczy papież Jan Paweł II – pochodzą łaska i moralny obowiązek przemiany życia w nieustanną ofiarę duchową (adhort. *Familiaris Consortio*, 56).

Jakby zbierając wszystkie życzenia, które dziś otrzymujecie, chciałbym wam życzyć, byście trwali w bliskości z Chrystusem Panem, czerpiąc wciąż ubogacenie dla waszej miłości.

Gody w Kanie (J 2, 1-11)

Przeżywamy chwile w życiu ludzkim, kiedy nieprawdziwym jest powiedzenie, że ziemia jest padołem płaczu i łez doliną. Śpiew, muzyka, radość i pokój są uczestnikami uroczystości weselnych ludzi wielkich i małych, bogatych i biednych. Jednak było wesele, z którym nie może się zrównać żadne w dziejach, którego wspaniałość rozpowiada się poprzez wszystkie pokolenia – i będzie się rozpowiadać przez wszystkie wieki. To wesele w maleńkiej miejscowości – w Kanie Galilejskiej, a słuchaliśmy o nim w perykopie ewangelicznej. I nic dziwnego, bo wśród gości weselnych był sam Zbawiciel wraz z swoją Matką i uczniami. Nie dziwi, że nowożeńcy z Kany Galilejskiej – jak mówi tradycja – byli parą nader szczęśliwą, bo za stołem zasiadł ten, który jest źródłem pomysłowości, radości i pokoju ludzkich serc.

Doskonale to rozumieją mieszkańcy Bretanii, najbardziej katolickiej krainy Francji, dlatego zapraszają na przyjęcie weselne Jezusa i Jego Matkę. Na czo-

łowym miejscu stawia się tron dla Jezusa i zdobi kwiatami obraz Serca Jezusowego. Po prawej ręce Jezusa umieszcza się obraz Jego Matki w morzu kwiatów. Tuż obok nich siadają nowożeńcy. Nowożeńcy z Bretanii są przekonani, że jeśli w ich weselu weźmie udział Jezus, skoro On wzniesie toast i złoży im życzenia, On im poszczęści, będą na pewno szczęśliwi.

To jest trafna recepta na szczęśliwe życie dla wszystkich, którzy zasiadają na ślubnym kobiercu. Dlatego i wy zaprosiliście na wasze wesele Jezusa przez religijne przygotowanie, spowiedź, komunię świętą, którą przyjmiecie i mszę świętą w waszej intencji. Goszcząc Jezusa najpierw chcecie podziękować za to, że był wam przewodnikiem na ścieżkach młodości. Przede wszystkim jednak chcecie, aby On pobłogosławił wasz związek.

Zaprosić Jezusa na swoje gody – to jeszcze nie wszystko. On winien być nie tylko honorowym gościem, ale stałym domownikiem w sercu, w domu – w czasie modlitwy i pracy, radości i cierpienia. Domownikiem bardzo zaangażowanym w wasze życie, pomyślność i szczęście, jak zaangażował się w życie nowożeńców z Kany, przemieniając wodę w wino i w ten sposób ratując ich przed kompromitacją już na początku przyjęcia, bo w kraju Chrystusa brak wina byłby taką kompromitacją jak u nas brak herbaty. Musicie jednak uczynić domownikiem waszego życia także Maryję, a Ona

– jak wtedy – pierwsza dostrzeże, czego wam potrzeba. Ona poprosi Chrystusa, by pospieszył wam na ratunek. Musicie też, jak w Kanie dosłyszeć Maryję mówiącą: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” (J 2, 5) mój Syn. A zatem, musicie tak postępować, jak uczy nas Jezus w Ewangelii i jak nam pokazał swoim życiem, a więc kochać miłością, która nie boi się wysiłku i poświęcenia. Miłością, której się nie odlicza: ile ja dla ciebie, ani ile ty dla mnie. Miłością bezinteresowną i wspaniałomyślną. Takiej miłości będzie was uczył, gdy będziecie się w Niego wpatrywać, czytając Ewangelię. Do takiej miłości uzdolni was Chrystus przez codzienną dobrą modlitwę, prywatną i wspólną, zwłaszcza wieczorem, mszę świętą i komunię świętą.

Powinniście też pamiętać, że każdy powrót do grzechu ciężkiego jest wyproszeniem Jezusa z waszego serca i waszego domu. Dlatego gdyby wam coś takiego się przydarzyło, powinniście Go przeprosić, uzyskać Jego wybaczenie w sakramencie pokuty i naprawić to szczególniejszą miłością.

Gdy wszyscy składają wam najlepsze życzenia, chciałbym wam życzyć: niech Jezus znajdzie godne siebie miejsce na waszych godach, w waszym domu i w waszym życiu, a będziecie szczęśliwi w takim stopniu, w jakim byli szczęśliwi nowożeńcy z Kany. Tego chcę wam życzyć wraz ze wszystkim waszymi bliskimi tutaj obecnymi. Amen.

Aż do końca życia (Mt 19, 3-6)

Drodzy Nowożeńcy! Człowiek na całe życie – tak właśnie pomyśleliście wzajemnie o sobie decydując się na zawarcie sakramentu małżeństwa. Ten wybór na całe życie chcecie teraz wyznać przed Kościołem i przysiąc sobie przed Bogiem w słowach: „ślubuję ci..., że cię nie opuszczę aż do śmierci”, bo tylko tak można rozumieć i zrealizować słowa Chrystusa: „Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela” (Mt 19, 6), które skierował do nas w dzisiejszej Ewangelii. Co robić, aby Panu Bogu i sobie wzajemnie dotrzymać przysięgi?

Musicie zrobić wszystko, aby powstała między wami taka więź, jaka została wyrażona w oryginalnym hebrajskim słowie, przetłumaczonym przez polskie „złączy się”, a znaczy ono „przylepić się”. Mąż i żona winni być ze sobą sklejeni jak dwa kawałki papieru. Jeśli zaś ktoś zechce je rozerwać – zniszczy obie.

Taka zaś więź sprawia, że małżonkowie stają się jednym ciałem. Być „jednym ciałem” w języku semickim oznacza – jak to trafnie wyraził nasz myśli-

ciel Tadeusz Kotarbiński – nie tylko dwie dusze w jednym ciele, lecz także jedną duszę w dwóch ciałach (*Medytacje o życiu godziwym*, s. 77).

Swego czasu przeprowadzono wywiad z żoną piłkarza:

– Czy pani chodzi na mecze, w których gra mąż?

– Nie.

– Czy może pani słucha meczów męża przez radio?

– Nie.

– W telewizji?

– Nie.

– Nie interesuje się pani piłką nożną?

– Nie znam się na sporcie i nie interesuje mnie piłka nożna.

– Nie rozmawia pani z mężem na te tematy?

– On wie, że się na tym nie znam. Nie rozmawiamy na temat piłki nożnej.

W tym małżeństwie powstała dramatyczna sytuacja, bo oni są tylko w pewnych momentach dwoma duszami w jednym ciele, a nie są na co dzień jedną duszą w dwóch ciałach. To zaś jest zbyt mało, aby w pewnym momencie ich drogi się nie rozeszły. Przecież cała jego osobowość jest przesycona piłką nożną. To nie jest jakiś margines, ale to jest istotna treść jego życia. Piłką nożną przepojone jest u niego jedzenie, spanie, ubieranie się... wszystko, co robi. Wszystko inne schodzi na margines – służy temu celowi. On chce na te tematy rozmawiać. Gdy wcze-

śniej czy później zorientuje się, że w sprawie dla niego najważniejszej jego żona nigdy nie będzie partnerem, to musi sobie znaleźć kogoś innego. Będzie się wymykał z domu, by sobie pogadać. Do klubu, do znajomych, a może do knajpy. Z innymi będzie patrzył w telewizor, będzie wiódł niekończące się rozmowy, spory i kłótnie. Tam będzie żył pełnym swoim życiem. Dom z żoną będzie się stawał coraz bardziej nudny, obojętny, obcy.

Co to znaczy być żoną, mężem? To znaczy mieć wszystko wspólne. Nie ma już „ja” i „ty”, ale jest wciąż „my”. A mieć wszystko wspólne, to nie znaczy mieć wspólne ciało, wspólne mieszkanie, stół, łóżko, ale także wspólne życie. Wszystko co twoje, jest moje. Wszystko co moje, jest twoje. Ale dosłownie. Ja muszę żyć twoim życiem. Nie może być zakątka twojego życia, który byłby dla mnie obcy, niedostępny, a co więcej – przeze mnie odrzucony, wzgardzony. Jeżeli mam się cieszyć twoimi radościami, jeżeli mam się smucić twoimi smutkami, to również i tym, co je wywołuje. Nie może to być udawaniem z pobłażliwością czy z lekceważeniem – „z miłości” czy „z litości”, czy dla świętego spokoju. To musi być jak najbardziej autentyczne zaangażowanie się w życie najbliższego człowieka.

Przykładem może być małżeństwo 22-letniej kobiety, uczestniczki ankiety *Nas dwoje*. Tak pisze:

„Bardzo nas łączą nasze wspólne zainteresowania. Przede wszystkim oboje interesujemy się nawzajem swoimi studiami. Poza tym lubimy wiele tych samych książek (które czasami czytamy głośno). Zawsze marzymy o takim samym spędzeniu wakacji. Tak samo zachwycamy się przyrodą, krajobrazem. Lubimy razem także pitrasić i fotografować. Ja jestem oprócz tego jego fryzjerem, a on moim arbitrem elegancji. Stara się zawsze zwrócić uwagę na mój nowy strój, a ja to doceniam, gdyż wiem, że w gruncie rzeczy mało go to interesuje. Ja ze swej strony udaję największe zrozumienie dla jego pomysłów technicznych, które są często dla mnie ‘czarną magią’. Nie uważam tego za niepotrzebny fałsz. Po prostu chodzi mi o to, aby nie było żadnych spraw, w których drugie z nas byłoby poza marginesem. Wspólnym konikiem jest nasz dom. Prawie wszystko – meble, oświetlenie, malowanie, dekoracje – robimy w nim sami” (*Nas dwoje*, s. 68-69).

Aby stać się dwoma ciałami w jednej duszy konieczną jest sprawiedliwość w rozłożeniu prac i obowiązków domowych. Ale nie tylko. Także w podziale uczuć, trosk i zainteresowania w stosunku do wszystkich członków rodziny. Tymczasem wcale nierzadko zdarza się, że po urodzeniu dziecka, staje się ono w sercu matki groźnym rywalem swego ojca – zabiera to serce wyłącznie na swoją własność, a mąż jakby

przestaje istnieć dla swojej żony. Zaniedbany i rozgoryczony może on wtedy zacząć szukać uczucia i pociechy poza domem. A przecież powinno być odwrotnie, bo dziecko to wspólne “osiągnięcie” – wspólna radość i troska oraz nowy węzeł między małżonkami, którzy teraz tym bardziej potrzebują siebie nawzajem, swej współpracy i pomocy. Mężczyzna liczący 35 lat, uczestnik ankiety *Nas dwoje*, tak o tym pisze: „Cementują nasz związek dzieci, które każde z nas z radością powitało i które kochamy pragnąc ich szczęścia. Gdy taki dzieciak obejmuje swoimi małymi rączkami nasze szyje i ciesząc się z jednoczesnej obecności obu rodziców woła radośnie: «i tatuś, i mamuś», to choćby dla tych chwil nie jesteśmy w stanie zgodzić się korzystać z «prawa do własnego szczęścia». «Ich» szczęście daje i nam chwile szczerego niekłamanego szczęścia” (*Nas dwoje*, s. 72).

Stawanie się jedną duszą umożliwia także częste stawianie się „na miejscu partnera”, wczuwanie się w jego potrzeby, uczucia, pragnienia oraz troska o zaspokojenie tych potrzeb. Chodzi o to, by małżonek czuł się dobrze w domu z rodziną. By wiedział, że jest akceptowany i ceniony za takie czy inne zalety. Każde z małżonków winno także od czasu do czasu spojrzeć na siebie oczyma drugiego i pomyśleć, czy taka (taki), jaka (jaki) jestem mogę się jemu czy jej podobać – z postępowania, z powierzchowności?

Z tym zaś ściśle wiąże się bardzo ważna sprawa: niezmordowane staranie się o atmosferę uprzejmości i takty w rozmowach. To bowiem, co mówimy, wywiera wpływ na psychikę a przez nią i na ciało. W ten sposób – jak mówił słynny fizjolog Pawłow – “słowo leczy i słowo zabija”. Jedne słowa koją, leczą, napełniają szczęściem i uszlachetniają. Inne gryzą, kłują, parzą jak pokrzywa i ranią jak nóż, cuchną i porażają jak trucizna. Takimi okrutnymi słowami można człowieka doprowadzić do ciężkiej choroby, a nawet zabić.

Wielki pisarz rosyjski Fiodor Dostojewski, który spędził 10 lat na wygnaniu na Syberii, w ostatniej chwili swego życia zwrócił się do żony tymi słowami: „Aniu, przez całe życie gorąco cię kochałem i nie zdradziłem cię nigdy, nawet myślą”. Kończąc chciałbym wam życzyć, abyście w swoim życiu stali się aż w takim stopniu jedną duszą, że gdy przyjdzie ostatnia chwila waszego wspólnego życia, mogli sobie powiedzieć słowa, jakie powiedział Dostojewski swej żonie: „przez całe życie gorąco cię kochałem; kochałem i nie zdradziłem cię nigdy, nawet myślą”.

Szczęście w małżeństwie a religijność

(Tb 8, 5-10; J 15, 9-12)

Drodzy Nowożeńcy! W kościele liberyjskim wręcza się młodej parze jako pamiątkę jej małżeńskiej przysięgi następujący symbol małżeństwa: dwie głowy – jedna mężczyzny, a druga kobiety. Obie połączone są pasmami drewna, z tym, że łączące je pasma nie są niczym przymocowane. Poślanie tego symbolu jest następujące: „Gdzie Bóg łączy, tam nie ma złączy”.

Prawdę tę potwierdzają badania socjologiczne. Według Williama Goode’a (*The Family*, New Jersey 1964, s. 95) najmniej skłonne do rozwodu są małżeństwa osób należących do tego samego kościoła. Najwyższy zaś procent rozwodów w USA występuje u osób bez powiązań religijnych. Mniejszy u małżeństw mieszanych pod względem wyznaniowym, a najmniejszy – gdy oboje są katolikami. Wśród małżeństw katolickich zauważa się tym większą trwałość małżeństwa, im większa jest intensywność postawy religijnej. Dr Pitirim Sorokin z Uniwersytetu Harvarda stwierdził,

że tam, gdzie “codziennie zachowywano rodzinną praktykę czytania Pisma Świętego i modlitwy na 1015 małżeństw przypada tylko jeden rozwód”. Zależność szczęścia i trwałości małżeństwa od stopnia intensywności postawy religijnej widać wyraźnie także w badaniach przeprowadzonych w naszym kraju (P. Poręba, *Psychologiczne uwarunkowania życia małżeńskiego*, Lublin 1977, s. 52; M. Braun-Gałkowska, *Miłość aktywna*, Warszawa 1985, s. 125-132).

Dlaczego tak wielkie znaczenie dla rozwoju i dojrzewania wzajemnej miłości, a w efekcie dla stopnia szczęścia małżonków ma żywa, prawdziwa religijność?

Najpierw religia przeżywana w formie modlitewnego kontaktu z Bogiem skłania i uzdalnia współczesnego człowieka ogarniętego gorączką, żeby jak najwięcej mieć, do wysiłków, by rozwijać własną osobowość. Dokonuje zaś tego przez dostarczanie odpowiednich motywów, wartości i ideałów. Wzór takiej małżeńskiej modlitwy ukazuje wam dzisiejsza liturgia słowa w osobie Tobiasza i jego żony Sary. Warto zwrócić uwagę na to, że jak w modlitwie Sary – zresztą krótkiej – dominuje element prośby, tak w wyraźnie dłuższej modlitwie Tobiasza dominuje element zachwyty i uwielbienia dla Boga: „Panie, Boże ojców naszych, niech Cię błogosławią niebiosa i ziemia, morze, źródła, rzeki i wszystkie stworzenia Twoje, które w nich są. Tyś stworzył Adama z mułu

ziemi i dałeś mu na pomoc Ewę”. Tak wielbi Boga cały świat przyrody przez usta Tobiasza. Do tego dołącza Tobiasz osobiste uwielbienie, albowiem kieruje się w swoim postępowaniu nie namiętnością, ale miłością nie tylko do Sary, ale i przyszłego potomstwa: „A teraz, Panie, Ty wiesz, że nie dla namiętności biorę siostrę moją za żonę, ale tylko dla miłości potomstwa, w którym by było błogosławione imię Twoje na wieki wieków”.

Dalej wspólnie przeżywana wiara daje małżonkom jednakową wizję świata i życia, wspólną podstawę, do której zawsze można się odwołać. Oto znamienna wypowiedź świadcząca o tym. „Mąż mnie zdradził, nawiązał kontakt miłosny z inną kobietą, koleżanką z biura. Przeżyłam to okropnie, przypuszczam, że i nasze dzieci – synek i córeczka – poczęły się czegoś domyślać z oziębionych i urzędowych stosunków między nami. Mąż jest wierzący, ja też. Korzystając z tego poczęłam mu tłumaczyć o odpowiedzialności przed Bogiem za nasze małżeństwo, o krzywdzie mojej i dzieci. Milczał, nie bronił się, nie zaprzeczał. Widziałam po nim, że i on ciężko to przeżywa. Po kilku dniach, kiedy znaleźliśmy się sami, podszedł do mnie i niepewnym głosem zaczął mówić: Skrzywdziłem cię, jeśli możesz, to mi przebac, z tamtą zerwałem. Było to przeżycie wielkie dla mnie, przypuszczam że i dla niego. Nie mogłam opanować płaczu, padliśmy sobie w objęcia, przeba-

czyłam mu i ponownie zaufałam. Nasza miłość odrodziła się. Mąż znowu stał się czułym dla mnie i dla dzieci, za co gorąco Bogu dziękuję”. Wspólne przeżywanie wiary daje także podstawę do wzajemnego zaufania, bo osłabia egoizm, a wzmacnia nastawienie altruistyczne. Bez tego zaś nie ostoi się wasza miłość. Dlatego gdy William Morris, angielski pisarz i poeta, napisał poemat pt. *Miłość wystarczy*, została napisana o tym dziele krótka recenzja: „Nie wystarczy”. Dlaczego nie wystarczy? Bo jesteście skłonni do wzajemnego poświęcenia i wspaniałomyślnego obdarowywania się dotąd, dopóki trwa w was miłość upodobania czyli zachwyty, oczarowanie albo miłość pożądania czyli pragnienie drugiego człowieka, jego towarzystwa, jego zalet ducha i umysłu czy też tylko jego fizycznej bliskości. A wiemy, że uczucia – uczucia miłości, podobnie jak pożądania – mają to do siebie, że przemijają.

Stąd, aby została w człowieku ta skłonność do poświęcenia się dla drugiego i wspaniałomyślnego obdarowywania go, konieczna jest w człowieku miłość niezależna od uczuć. Taką miłością jest chrześcijańska agape.

Ponadto w każdym człowieku tkwi coś, co nie może być kochane nie tylko przez miłość pożądania, ale także i miłość upodobania. Coś, co nie wzbudza miłości, przeciwnie – rani ją. I stąd słyszy się powiedzenie: „Gdyby mój mąż był bardziej delikatny, mniej

leniwy, kochałabym go bardzo” albo „Kochałbym moją żonę, gdyby rzadziej miała złe humory, była bardziej rozsądna, a mniej dziwaczna” itd. W każdym człowieku, oczywiście i w was, istnieje coś, co wymaga cierpliwości, wyrozumiałości i przebaczenia. Tak o tym pisze jeden z uczestników ankiety *Nas dwoje* liczący 35 lat: „Miłość między młodymi jest wspaniała, jest wielkim i często doniosłym przeżyciem, ale mimo wszystko jest tylko stanem, w który wpada się na dłużej lub krócej... Bez rozumiejącej, zwykłej, powszedniej miłości bliźniego, ta miłość wyrosła na tle seksualnym nie jest w stanie trwale i prawidłowo działać” (*Nas dwoje*, s. 72-77).

Stąd też i w dzisiejszej Ewangelii zwrócił się do was Chrystus ze słowami: „To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem” (J 15, 12), a więc aż do zapomnienia o sobie, o swoich urazach, krzywdach, potrzebach, problemach, aż do poświęcenia nie tylko swojego czasu, sił, zdrowia, ale nawet życia.

Bóg w Chrystusie nie tylko zobowiązuje nas do miłości na Jego miarę, ale także nas uzdalnia do niej. Pisze bowiem Ojciec Święty Jan Paweł II: „Duch, którego Pan użył, daje nowe serce i uzdalnia mężczyznę i kobietę do miłowania się tak, jak Chrystus nas umiłował” (adhort. *Familiaris Consortio*, 13).

Dzisiaj, gdy składa się wam wiele pięknych życzeń, chciałbym je zebrać w jednym: budujcie wasze szczęśliwe gniazdo rodzinne w autentycznej bliskości z Panem, kierując się Jego światłem i wzmacniając się energią Jego miłości.

Recepta na szczęście w małżeństwie

(J 15, 9-12)

Drodzy Nowożeńcy! I wy zdecydowaliście się stanąć na ślubnym kobiercu w nadziei, że będzie to pierwszy krok ku szczęściu. Zrobiliście to jednak pełni obaw, czy będziecie szczęśliwi ze sobą, bo tak często okazuje się potem, że był to pierwszy krok do sprawy rozwodowej i życiowej katastrofy. Stąd chciałoby się zapytać: czy istnieje jakaś recepta na szczęście w małżeństwie?

Takie pytanie postawiła redakcja tygodnika „Kobieta i Życie” swoim czytelnikom. I rzecz ciekawa, że w ponad czterystu listach ludzi uważających się za szczęśliwych w małżeństwie powtarza się recepta, którą jedna z autorek wyraziła w słowach: „Moja recepta na szczęście? Jest prosta jak całe moje życie. Prosta i zwyczajna – tyle... że polega na dawaniu, a nie tylko na braniu”. Kobieta ta nie powiedziała nam nic nowego; taką receptę na szczęście dał nam Jezus Chrystus, który uczy, że chrześcijanin nie

może poprzestać na sprawiedliwości: ja dla ciebie tyle, więc i ty dla mnie także tyle. Chrystus wzywa nas, abyśmy obdarzali bez wyrachowania, mówiąc: „Gdy wydajesz obiad albo wieczerzę, nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani zamożnych sąsiadów, aby cię i oni nawzajem nie zaprosili, i miałbyś odpłatę. Lecz kiedy urządzasz przyjęcie, zaproś ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych. A będziesz szczęśliwy” (Łk 14, 12-14). Zwróćmy uwagę na słowa: „A będziesz szczęśliwy”. A zatem kochać bez wyrachowania to drogowskaz do szczęścia. Pan Jezus miał to wyrazić – jak mówi św. Paweł – jeszcze krócej i dosadniej: „Więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu” (Dz 20, 35).

Takiego stylu życia uczył nas Jezus nie tylko słowami, ale także swoim postępowaniem. Jest wrażliwy na każdą ludzką nędzę, nieszczęścia i cierpienia i angażuje się w niesienie ratunku aż do zapomnienia o sobie. Zapomina o głodzie, zmęczeniu i upale. Swojej boskiej mocy nie chce wykorzystać dla siebie, ale posługuje się nią, by pocieszać smutnych, ocierać łzy ludzkie, leczyć chorych. Pozwala się eksploatować aż do ostatnich granic. Dopuszcza do siebie gromadkę dzieci wraz z matkami nawet wtedy, gdy apostołowie uznali, że jest nadmiernie zmęczony. Ostatecznie Chrystus oddał nam swoje życie przez swą śmierć na krzyżu.

Jeśli zatem chcecie szczęśliwie budować życie, często wpatrujcie się w Chrystusową miłość i pamiętajcie słowa, które powiedział do was w dzisiejszej Ewangelii: „To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem” (J 15, 12).

A zatem receptą na szczęście w małżeństwie jest: dawać to, co się ma i czym się jest. Dawać nie żądając w zamian nic. W ten sposób człowiek się otwiera, wychodzi ze swojej małości i egoizmu, i dzięki temu zmienia się na korzyść, pięknieje. Dzięki temu partner jest coraz bardziej pod urokiem takiej osoby, daje z siebie to co najlepsze i w ten sposób pięknieje. Nie ma lepszego sposobu na spowodowanie takiego postępowania partnera niż rozrzutne obdarzanie. Tak postępując „zadłużamy” partnera, prowokujemy i inspirujemy, aby i on stał się ofiarodawcą. Taka reakcja partnera zaś wywołuje wspaniałomyślność w darze.

Może ktoś zapyta: jak ma postąpić osoba, która po wstąpieniu w związek małżeński będąc bezinteresowna, całkowicie oddana partnerowi, została potraktowana przez niego jak głupiec, bo partner korzystał z jej altruizmu, sam nic nie dając? Rozważmy. Jeżeli wstrzyma się od obdarowania bez rozliczeń, nie chcąc być wykorzystywaną – w jednym związku znajdzie się aż dwóch wyrachowanych egoistów, a to stanowi fatalną prognozę. W tym momencie, kiedy mąż czy żona zaczynają sobie wyliczać,

odmierzać, targować się, wyklócać o każdy detal – ile ja tobie, a ile ty mnie, następuje początek klęski, początek nieuchronnego bankructwa. Zresztą to, co się daje w małżeństwie i to, co się bierze, jest nieprzeliczone. Stąd nie ma sensu prowadzenie buchalterii: co ja świadczę i co mam za to.

Co zatem ma zrobić mądry współmałżonek, jeśli się okaże, że partner nie jest typowy i nie chce reagować według przewidywań „recepty na szczęście”? Nie wpadać w panikę, lecz uruchomić określoną i przewidzianą na taką sytuację mądrą, starą jak świat taktykę. Otóż zrezygnować z postawy wyczekującej i korzystając z płomiennego okresu w małżeństwie „podpowiadać” swemu partnerowi formy obdarowywania, stopniowo wdrażając go w sztukę obdarzania. Z czasem stanie się to u niego odruchem, nawykiem, jak każda czynność przez dłuższy czas systematycznie powtarzana. Tak więc jeżeli nie można liczyć na domyślność partnera, należy jej pomóc. Wymaga to jednak mądrości i taktu, by go nie przygniatać poczuciem własnej nienaganności.

Dobrym przykładem w tym względzie jest sytuacja przedstawiona w następującej wypowiedzi: „Mój mąż przywiózł ze studiów nie tylko dyplom, ale i szereg nałogów, jak brydż, wędkarstwo, umiłowanie męskiego towarzystwa. Wieczory zaczęłam spędzać samotnie nad książką, sprzątaniami lub dodatkową

pracą zarobkową... Wymówki, poważne i mniej poważne rozmowy, łzy, kpiny, groźby, odbijały się od tej lekkomyślnej i niefrasobliwej natury, jak od rafy koralowej. Gdy urodziłam pierwsze dziecko – mój mąż grał w brydża, gdy przyszło na świat drugie – mój mąż łowił ryby...

Wszelkie próby prowadzenia z Piotrem rozmów na tak zwane tematy zasadnicze oceniane były jako głędzenie malkontentki, bo jego zdaniem wszystko było w porządku. Jego niedojrzałość życiowa doprowadziła mnie do rozpaczy”.

Jak ta czytelniczka z rzeszowskiego przełamała swego męża do altruizmu? „Pomogłam znaleźć mężowi cel pochłaniający całą jego energię, przedsiębiorczość, siły witalne i intelektualne na wiele lat. Tym celem jest budowa domu jednorodzinnego. Dziś Piotr nie pamięta, czyj to był projekt i pomysł... Trwają nieustające dyskusje na temat budowy, wszystkie zabiegi dotyczą tej jednej sprawy – domu, który ma się stać materialnym dowodem naszego życiowego sukcesu, zabezpieczeniem starości, domem rodzinnym, gniazdem, do którego się wraca, kiedy jest się zmęczonym życiem... Od trzech lat nie pamiętam, że istnieje brydż. A na wędrówki rybackie najczęściej wyjeżdżamy razem z dziećmi. Męskie towarzystwo spotykamy na imieninach i innych towarzyskich okazjach” (M. Maniewicz, *Recepta na szczęście*, s. 12-18).

Życiowa strategia małżonków (Mk 10, 6-9)

Drodzy Nowożeńcy! Czy będziemy szczęśliwi ze sobą? – oto pytanie, które intryguje wszystkich, którzy decydują się stanąć na ślubnym kobiercu. Często to, co udało się zbudować innym, jest zaprzeczeniem ich marzeń z czasów, gdy byli jak wy dzisiaj na starcie do wspólnego życia. To, co w końcu zbudowali, przypomina piekło na ziemi, dlatego w średnich miastach rozwodzi się jedna para na pięć, w wielkich jedna na trzy, a w Warszawie aż dwie na pięć, czyli taka sama liczba małżeństw, jaka średnio rozwodzi się w Stanach Zjednoczonych, w kraju o najwyższym wskaźniku rozwodów w skali światowej. A liczba wnoszonych do sądów spraw znacznie przewyższa liczbę orzeczeń rozwodowych. Dlaczego małżonkowie są ze sobą szczęśliwi lub nie?

Wiele osób sądzi, że jest to w głównej mierze sprawą przypadku. Czyjeś udane małżeństwo przypisuje się głównie szczęśliwemu wyborowi towarzysza lub towarzyszki życia, natomiast porażki innych tłuma-

czy się „niedopasowaniem” partnerów. Ponieważ zaś partnerzy okazują się innymi po ślubie, małżeństwo przypomina loterię. Co o tym sądzić?

Z pewnością korzystny dobór towarzysza lub towarzyski ułatwia szczęśliwe bycie ze sobą, jednak powodzenie małżeństwa jest przede wszystkim rezultatem prawidłowej strategii życiowej małżonków. Wszelkie nadzieje, że „jakoś to będzie” albo że „jakoś samo się ułoży” są niebezpiecznym złudzeniem. W ten sposób można było podchodzić do sprawy w czasach, kiedy schematy życia rodzinnego i wzory ról męża i żony określała tradycja. Można było wtedy stosunkowo biernie odtwarzać uznawany model życia małżeńskiego i na ogół to wystarczyło do uzyskania pozytywnego układu w małżeństwie. Obecnie jednak te stare wzorce, które powstały w zupełnie innych warunkach, stały się po prostu nieaktualne. Dlatego też dzisiejsze małżeństwa muszą układać swoje wzajemne stosunki opierając się na własnych przemyśleniach koncepcji współżycia i wspólnoty religijnej.

Do tej refleksji nad swoim układem małżeńskim zmusza także współczesna rzeczywistość zewnętrzna, która nie liczy się z potrzebami życia rodzinnego, dlatego osoby, które bezkrytycznie poddadzą się temu co dyktuje dzisiejszy świat, nieuchronnie muszą to przyplacić bankructwem w sprawach osobistych. Stąd i wy macie przed sobą przyszłość o tyle,

o ile w świadomy sposób weźmiecie udział w grze o własny sukces małżeński.

Tutaj jednak panuje poważne nieporozumienie. Otóż małżonkowie często traktują swój kontakt jak grę, w której wygrana jednego związana jest z przegraną drugiego. Taka myśl, choćby ukryta w podświadomości, jest zaczątkiem poważnej choroby małżeństwa. Dlaczego? Ponieważ – jak słyszeliśmy w dzisiejszej Ewangelii – małżonkowie już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co to znaczy? Otóż zgodnie z obrazowym sposobem wyrażania się Semitów podkreślona została stro-
na widzialna jedności małżeńskiej, tj. zjednoczenie cielesne. Ciało jednak oznacza nie tylko fizyczny organizm człowieka, ale całego człowieka, a więc także jego psychikę i duchowość, dlatego w wyrażeniu tym jest podkreślona jedność obu osób, a nie tylko wspólnota życia seksualnego. W wyrażeniu tym położony jest akcent na słowo „jedno”, a więc małżonkowie stanowią właściwie jednego pełnego człowieka. Stąd w małżeństwie nie mogą istnieć podwójne interesy.

W tej grze stanowiące jakby brydżową diadę. W tej grze – jak wiadomo – partnerzy nie mają osobnych wygranych. Gdyby partnerzy zaczęli rywalizować ze sobą starając się zebrać jak najwięcej „lew” dla siebie – przegrają wspólnie. Sztuka polega na tym, by wyjść taką kartą, aby partner mógł zdobyć „lewę”. Wygrane liczą się razem, straty również.

W grach zespołowych silniejszy gracz bierze na siebie ciężar gry. Nie inaczej jest w mądrej strategii małżeńskiej. Warto zdawać sobie sprawę, że wszelkie próby porównywania, kto ma większy udział w budowaniu wspólnoty małżeńskiej, nie mają najmniejszego sensu. Po pierwsze, że jest to nieporównywalne, a po drugie, że wysiłek ten nigdy nie rozdziela się równo pomiędzy małżonków. Poza tym tego rodzaju próby odmierzenia swoich i cudzych zasług na pewno nie służą umacnianiu ducha solidarności w małżeństwie.

Właściwa strategia małżeńska nakazuje, aby każdy z małżonków dawał z siebie to, na co go aktualnie stać, nie oglądając się na współmałżonka. Trzeba także wiedzieć, że w małżeństwie zwykle role się odwracają. W pewnym okresie na przykład wkład kobiety może być większy niż mężczyzny, a po jakimś czasie może się okazać, że to właśnie na nim spoczywa teraz główny „ciężar gry”.

Dlatego na progu waszego wspólnego życia różnorodne życzenia, które chcielibyśmy wypowiedzieć, zawrę w jednym krótkim: bądźcie wspaniałomyślni dla jednej wspólnej sprawy, którą jest szczęśliwe gniazdo małżeńskie, a potem rodzinne.

Miłość zadaniem (J 15, 12-16)

Drodzy Nowożeńcy! Z ogromnym szczęściem w sercu, promieniującym na twarzach, przekroczyliście próg świątyni, bo jesteście parą związaną miłością pełną wzajemnego zachwytu i oczarowania, bo jest wam ze sobą dobrze, błogo, radośnie. Stąd wasi bliscy patrząc na was pełnych szczęścia, życzą wam, abyście się zawsze kochali tak jak dziś. Gdyby się jednak to życzenie spełniło, byłoby to prawdziwym nieszczęściem, bo miłość nie jest faktem, ale ciągłym procesem i dlatego jest waszym zadaniem, a dzisiaj znajdujecie się za ledwie w punkcie wyjścia. Dlaczego? Bo na słowo „kocham” u was złożyło się najpierw uwrażliwienie na człowieka odmiennej płci, albowiem zarówno w kobiecie, jak i w mężczyźnie jest jakaś pustka, brak, który woła o dopełnienie. Dlatego w pewnym momencie pojawiało się wzajemne zauroczenie, zafascynowanie, oczarowanie, ponieważ dostrzeegliście w sobie wartości. To oczarowanie, ten zachwyt łączy się zwyczajnie z pożądaniem nie tylko natury ciele-

snej, lecz także duchowej, a więc z pragnieniem towarzystwa, zalet ducha i umysłu.

Następnym stopniem procesu rodzącej się miłości jest wzajemny szacunek dla siebie, który musi się wyrazić w kulturalnych odniesieniach do siebie, nie tylko na oczach innych, w towarzystwie, ale przede wszystkim w prywatnym życiu, w czterech ścianach własnego mieszkania, sam na sam. „Nie znałam przedtem jego chamstwa – mówi zawiedziona w swojej miłości mężatka. Kiedy przychodził do mnie jako narzeczony, wyglądał na bardzo kulturalnego i ułożonego. Po kilku miesiącach naszego wspólnego życia rozczarowałam się zupełnie. Nie ten człowiek”. I wasz szacunek po miodowym okresie będzie musiał zdawać egzamin w szarej codzienności. W nim będzie wychodziło na jaw, w jakim stopniu wy dla siebie stanowicie wartość, w jakim stopniu się rzeczywiście cenicie.

Kolejnym etapem dojrzewającej miłości i następnym jej komponentem jest życzliwość, która wyraża się w autentycznym pragnieniu długofalowego dobra i szczęścia dla osoby, którą pokochaliśmy. Zapominam o sobie, o swoich potrzebach, o swojej pomyślności, szczęściu, a pragnę, aby drugiemu było dobrze. Życzliwość jest przełomowym etapem rosnącej miłości; człowiek wychodzi ze skorupy swego egoizmu ku drugiej osobie. Jest więc przejściem od postawy egocentrycznej ku altruistycznej. Biorca przekształca się w dawcę.

Z życzliwością łączą się nierozzerwalnie dwa następne komponenty miłości: troska i odpowiedzialność. Troska zmierza do ochrony i zabezpieczenia wartości ukochanej osoby. Chodzi o to, by nie tylko nie psuć, lecz pomagać, i to jak najwięcej, by ukochana osoba stała się lepszą i szczęśliwszą. Kto kocha, czuje się odpowiedzialnym za godność, szlachetność, rozwój, opinię, pomyślność i szczęście osoby kochanej, nie tylko obecnie, lecz także na przyszłość, a nawet na wieczność. Dzisiaj podejmujecie wzajemną odpowiedzialność za siebie na całe wspólne życie, i to bez względu na to, czy ukochana osoba spełni pokładane nadzieje czy też nie.

Maria miała troje dzieci i męża pijaka. Kiedyś ogromnie się kochali. Kiedy marzyli wobec rozgwieźdzonego nieba o przyszłym życiu, widzieli się idącymi razem, zapatrzonymi w siebie, uśmiechniętymi. Z marzeń pozostało tylko bardzo smutne, katorżnicze życie żony pijaka. Kiedy sąsiadki dziwiły się, dlaczego nie przegoni go z domu lub sama nie odejdzie, by zaznać odrobinę spokoju, jedną miała odpowiedź: „czy mogę go zostawić tak na zatracenie? Czy wobec Boga nie wzięłam odpowiedzialności za niego? Czy Bóg nie zażąda rachunku z tego co zrobiłam dla niego, by był inny, lepszy? Przecież nie mogę być obojętna na to, co się z nim stanie”.

Szczytowym wyrazem miłości jest dawanie czegoś wartościowego z siebie, a w końcu całego siebie osobie kochanej, a więc zdrowia, kariery, życia. To dawanie jest syntezą wszystkich wcześniej wspomnianych komponentów miłości: szacunku, życzliwości, troski, odpowiedzialności. Stąd tyle kochasz, ile ofiarujesz, ile dajesz osobie kochanej.

Do takiej dojrzałej miłości wzywa was Chrystus w dzisiejszej Ewangelii, mówiąc: „To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15, 12-13). I was czeka składanie sobie w darze życia chwila po chwili, kropla po kropli w codziennych wyrzeczeniach, wysiłkach i poświęceniu trwającym niekiedy i 24 godziny na dobę, bez względu na zmęczenie i senność.

Dojrzewanie miłości (1 Kor 12, 31 – 13, 8a)

Drodzy Nowożeńcy! Przeżywacie już ostatnie minuty pięknego okresu miłości narzeczeńskiej, kiedy to spędzaliście ze sobą chwile wolne od zajęć i obowiązków w atmosferze relaksu i odpoczynku, a przede wszystkim w klimacie romantycznych uniesień. Ponadto nigdzie nie jest tak wygodnie, jak w rodzinnym domu.

Na nowy okres pozostaje wam tylko miłość i to, że „nareszcie sami”, jako królewski ekwiwalent. Ale i miłość taka, jaka jest, nie będzie trwać zawsze. To, co was dziś łączy, zupełnie inaczej będzie wyglądać za 20 lat. Miłość romantyczna – żarliwa, bliska fascynacji, szaleńcza, namiętna, będąca jedynym przeżywaniem, która stanowi waszą wspólną najwyższą radość, jest – niestety – nie do utrzymania. Żadne małżeństwo nie może być ciągiem romantycznych uniesień. Stanowią one tylko pewną – bardzo miłą – fazę, z której się jednak wyrasta. Po jakimś czasie wyczerpie się wzajemna zachłanność, ciekawość, radość poznania, a uczuciowe treści zejdą na drugi plan. Żaden człowiek bowiem nie może przez całe

życie kochać z jednakową intensywnością, niezależnie od tego, co przeżywa poza tym. Nikt, kto ma absorbującą pracę, wielkie satysfakcje czy przykrości, nikt zmęczony czy zdenerwowany – nie jest w stanie trwać w zachwycie dla żony czy męża. Kończącego się stadium miłości nikt nie może reaktywować, tak jak nie można zmienić kierunku biegu rzeki ani zatrzymać wiosny, żeby nie przekształciła się w lato. Ponadto próba konserwacji miłości we wczesnym stadium to zupełnie tak, jakby zatrzymać dziecko w jakimś punkcie rozwoju. To, co jest wdziękiem trzyletniego dziecka, musi się skończyć wtedy, kiedy dziecko przestaje być trzylatkiem. Podobnie jest i z miłością. To, co było jej odpowiednim na pewien czas kształtem, staje się niedorozwojem.

Kiedy jednak miłość słabnie w intensywności przeżywania, wcale nie znaczy, że – jak się to często uważa – miłość „odchodzi”. Przeciwnie, świadczy to właśnie o jej rozwoju. Albowiem im wyższe są uczucia, tym mniej intensywne w przeżywaniu, natomiast tym trwalsze i tym głębiej wpływające na osobowość człowieka, tym bardziej przemieniające człowieka. Wiemy, że uczucia najwyższe, jak wdzięczność, życzliwość, opiekuńczość, miłość do ojczyzny, rzadko kiedy przybierają postać fascynacji czy namiętności, a przecież uzdalniają człowieka do wielkiej ofiarności. Trzeba zatem odróżnić intensywność uczuciowego przeżywania od głębi uczucia, która jest miarą dojrzałości.

W jakim kierunku powinien dokonywać się prawdziwy wzrost waszej miłości? Otóż droga dojrzenia miłości to proces stopniowego przechodzenia z postawy biorcy do postawy dawcy. Na ogół trwa on całe lata i często jest bolesnym. Pierwszym trudnym momentem, który was czeka, to konfrontacja wyidealizowanego obrazu miłości i partnera z rzeczywistością. Ponieważ wobec realizmu życia zaczną opadać te wszystkie przystrojenia, jakimi ozdobiliście się nawzajem i samą miłość, czeka was rozczarowanie takim partnerem, jakim on rzeczywiście jest. Ta konfrontacja przebiega niekiedy burzliwie, dochodzi nawet do oskarżeń o udawanie, granie roli: „To ty jesteś taka?”, „To ty cały czas udawałaś?”.

Stąd nowe zadanie, które stanie przed wami: przyjęcie człowieka, tego rzeczywistego, którego się pokochało, poślubiło, i z którym się chce pozostać. A to nie jest łatwe. Najczęściej przychodzi pokusa przeobrażenia partnera, wychowania go poprzez wymuszenie zmiany. Tymczasem prawie każdy człowiek ma inny świat marzeń, z innym wyobrażeniem rozpoczął swoje życie miłości, dlatego musi nastąpić zderzenie, konflikt. W takiej sytuacji należy tę pokusę odrzucić jak najszybciej jako bezsensowną. Zaś przyjęcie partnera takim, jaki jest, jaki się okaże we wspólnym codziennym życiu – to chyba największy dar, jaki możecie sobie nawzajem złożyć. To też będzie

punktem zwrotnym miłości, punktem, w którym zacznie się dojrzewanie waszej miłości.

Dojrzewanie waszej miłości przyniesie jej coś, czego nie ma dzisiaj, albo niewiele; przyniesie zrozumienie i czułość. Przyniesie zrozumienie, bo człowieka można zrozumieć dopiero wtedy, kiedy się go przyjmuje, zaakceptuje we wszystkim, co w nim jest prawdziwe, nawet w tym wszystkim, co rani, co jest bolesne, co chciałoby się w jakiś sposób zwalczyć, usunąć. A przecież nie możemy zwalczyć niczego w drugim człowieku. Możemy mu tylko pomóc, aby on sam to zwalczył.

Dojrzewanie waszej miłości przyniesie jej także czułość. Problem: „czy jestem kochany” schodzi na dalszy plan wobec problemu: „czy kocham dostatecznie, czy nie sprawiłem, czy nie sprawiam zawodu?”. I stopniowo rozwija się wrażliwość na potrzeby partnera oraz wysiłek, aby je zaspokoić. Trzydziestodwuletni mężczyzna, uczestnik ankiety *Nas dwoje*, tak pisze: „Jestem z żoną niezmiernie szczęśliwy – nie sądzę, ażeby mogło być jeszcze lepiej; chociaż stale nam się tak wydaje, a po upływie jakiegoś czasu okazuje się, że jest jeszcze lepiej aniżeli do tej pory. Zastanawialiśmy się nieraz, dlaczego tak jest, że aż za często słyszy się dookoła narzekania małżonków, albo też obserwuje się takie czy inne zgrzyty i nieporozumienia, a między nami jest coraz lepiej i lepiej. I dochodzimy niezmiennie do jednego wniosku – że to chyba rezultat takiego, a nie innego

nastawienia się do naszego małżeństwa, nastawienia przed jego zawarciem, jak też przestrzegania tej «linii postępowania» w dalszym ciągu. Mianowicie myśleliśmy (i czynimy to w dalszym ciągu) wyłącznie o swoim partnerze, a im dłużej ze sobą przestajemy, z tym większą łatwością, można nawet powiedzieć automatyzmem, przechodzimy ponad wszelkimi przejawami egoizmu. Sytuacja jest wręcz paradoksalna: dochodzi nawet do sprzeczek między nami – bo ja chcę gwałtem, aby żona czy sobie odpoczęła, czy też poszła do kina lub na inną rozrywkę, albo żebyśmy jej coś kupili, a ona chce tego samego w odniesieniu do mnie” (*Nas dwoje*, s. 76-77).

I co ciekawe: najczęściej wtedy miłość jest tak mało intensywna w uczuciowym przeżywaniu, że nawet małżonkowie nie mówią o niej, a jest między nimi wciąż obecna, dyktuje każdy gest, każdą troskę, nawet jeśli jest to tak prześmiewane przez młodych parzenie ziółek dla chorego męża, dbałość o potrzeby chorej żony, o ciszę w domu. A to jest właśnie dojrzała miłość.

Z czasem, w miłości dojrzałej, możemy kochać człowieka nie tylko pomimo jego wad, ale trochę właśnie ze względu na jego wady, bo jego wady, jego ułomność czynią go jakoś bezbronnym w życiu, stanowią jego granice w rozwoju i w tym, co mógłby w życiu zdobyć. Wówczas kochamy go właśnie po to, by rozszerzyć go jako człowieka, żeby go swoją miłością osłonić przed tym wszystkim, co mu zagraża

ze względu na jego niedoskonałość, ograniczenie. Czujemy się za niego odpowiedzialni, bronimy go przed nim samym.

Punktem docelowym dojrzewania waszej miłości jest Chrystusowy sposób miłowania ukazany nam przez św. Pawła w hymnie stanowiącym pierwsze czytanie dzisiejszej liturgii słowa. Dlaczego Chrystusowy? Bo każde zdanie zachowa swój sens, jeśli słowo „miłość” zastąpimy imieniem „Jezus”. Dlatego wiele razy wpatrujcie się w miłość Chrystusa i wczytujcie w ten hymn. Nasze rozważanie zakończmy fragmentem tego hymnu:

„Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.

Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;
nie dopuszcza się bezwstydu,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego” (1 Kor 13, 4-5).

Jak śmierć potężna jest miłość

(Pnp 2, 8-10. 14. 16a; 8, 6-7a)

Drodzy Nowożeńcy! Najgłębszą rację waszej decyzji pójścia ze sobą przez życie jest wasza miłość pełna gorących uczuć. Te uczucia są siłą napędową w każdej miłości, w waszej także. To dzięki nim wasza miłość jest żywa, świeża i dynamiczna i przez to sprawia tyle szczęścia na waszych twarzach. To właśnie uczucia sprawiają, że także zakochanym z Księgi Pieśni nad Pieśniami, której fragment usłyszeliśmy w pierwszym czytaniu, brakuje słów, by wyrazić wzajemny zachwyty dla siebie, że jest im ze sobą tak cudownie, a każda chwila rozłąki jest męką, która wydaje się trwać wieki. Następnie ukochana wypowiada hymn o miłości, w którym padają między innymi słowa: „Jak śmierć potężna jest miłość” (Pnp 8, 6). I uzasadnia: „Bo jej żar to żar ognia”. Przykładem miłości potężnej jak śmierć jest miłość biblijnej Judyty, która „była godną podziwu z powodu wielkiej piękności” (Jdt 10, 14), a przede wszystkim ze względu na jej wierność

mężowi nawet po śmierci. „Wielu pragnęło jej, ale żaden mężczyzna nie zbliżył się do niej przez wszystkie dni jej życia, począwszy od dnia, w którym zmarł jej mąż Manasses” (Jdt 16, 22).

Jednak właściwością uczuć jest zmienność i zanikanie. Gdy natomiast zamierają uczucia małżonków do siebie, wypełniające dotychczasową treść ich miłości, wygasa i zamiera także i sama miłość, a wtedy wspólnota małżeńska znajduje się na drodze do rozpadu: „Żyjemy jeszcze obok siebie, a właściwie to tylko wegetujemy przy sobie – wyznaje żona – gdyż już się nie kochamy. Nasze uczucia wygasły, odkąd mąż poznał inną kobietę i obdarzył ją swoim uczuciem. Życie wspólne bez miłości jest męką. Postanowiliśmy się rozejść”.

Czy musi się tak stać? Otóż nie. I wasza miłość może być potężna jak śmierć. Trzeba tylko pielęgnować uczucia miłości. Jak to czynić? Na czym to polega?

Najpierw unikać ranienia drugiego zwłaszcza w tych sprawach, w których druga strona jest bardzo wrażliwa. I tak kobieta jest szczególnie wrażliwa na punkcie swego piękna – ona musi się podobać oraz na punkcie moralności i stąd także pod tym względem musi być uznawana przez partnera za wartościową. Natomiast u mężczyzny takimi newralgicznymi punktami są: siła, sprawność – zarówno fizyczna, jak i umysłowa, przedsiębiorczość i odwaga. Partnerzy winni więc doceniać się od tej strony, akceptować, a zwłaszcza powstrzymy-

wać się od ujemnych uwag, szczególnie gdy są kierowane w sposób niekulturalny, złośliwy.

Następna sprawa to być dla siebie wspaniałomyślnymi w zaspokajaniu podstawowych potrzeb psychicznych, ponieważ zaspokajanie ich sprawia drugiemu zadowolenie, przyjemność i szczęście. Do tych potrzeb należą: potrzeba miłości, bezpieczeństwa, uznania i indywidualnego rozwoju, które inaczej wyrażają się u mężczyzny, a inaczej u kobiety – i z tego musicie sobie zdawać sprawę.

Potrzeba miłości u kobiety przejawia się głównie w pragnieniu czułości w postępowaniu mężczyzny względem niej i stąd mężczyzna powinien znajdować coraz to nowe gesty, by tę czułość wyrazić. Natomiast u mężczyzny potrzeba miłości wyraża się w dążeniu do kontaktów fizycznych z kobietą i w zaspokajaniu swego popędu.

We współczesnych nam czasach, gdy małżonkowie są przede wszystkim zdani sami na siebie, szczególnego znaczenia nabiera potrzeba bezpieczeństwa. Wasz dom musi być azylem dającym schronienie przed samotnością i przed zagubieniem się w tłumie anonimowych jednostek. Kobieta musi czuć, że może liczyć na pomoc mężczyzny, że może mieć do niego zaufaênie. Ona musi czuć, że u mężczyzny może szukać oparcia dla siebie we wszystkich krytycznych chwilach, w doświadczeniach losu. Natomiast dla

mężczyzny istotna jest dobroć, inteligencja, zaradność, a zwłaszcza opiekuńczość małżonki.

Potrzeba uznania. Każdy człowiek musi być akceptowany. Szczególnie jednak zależy mu na tym, jak ocenia go ta osoba, która go kocha i którą on kocha. Małżonkowie winni nie szczędzić sobie wzajemnego uznania, zwłaszcza w punktach, które określiliśmy jako newralgiczne u kobiety i mężczyzny. Potrzeba ta jest realizowana przez upominki, choćby najdrobniejsze z okazji imienin, urodzin, rocznicy zaręczyn czy ślubu. W ten sposób też są ożywiane uczucia partnerów do siebie poprzez przywoływanie miłych wspomnień, wskrzeszanie chwil wzajemnego szczęścia.

I wreszcie potrzeba uszanowania indywidualności. Jesteście dwoma różnymi światami, bo macie odmienną płć, psychikę i przyzwyczajenia wyniesione z wychowania i środowiska, a musicie stać się zgraną wspólnotą. Nie może się to jednak dokonywać poprzez wymuszanie u partnera rezygnacji z własnej niepowtarzalności. Nie może się to dokonywać poprzez stłamszenie drugiego, jak chociażby kobiety liczącej 24 lata, która wyznaje: „W małżeństwie nie czuję się szczęśliwa, to głównie dlatego, że nic nie znacę. Wola męża jest wszystkim, jego zdanie się liczy, moje nie. Każda próba przeciwstawienia się z mojej strony powoduje u niego niezadowolenie i krzyk, że jestem głupia, że się na tych rzeczach nie znam itp.”.

A jak to winno wyglądać? Małżonkowie wzajemnie ubogacając się winni wyzwalać w sobie coraz to nowe wartości, którymi się ubogaca drugą stroną. Każde z małżonków zachowuje swoje „tak” i „nie”, a zarazem rezygnuje, ustępuje w sposób wolny, bez przymusu dla dobra wspólnoty, bądź dla dobra drugiego partnera, którego kocha i pragnie mu zrobić przyjemność.

Nasze rozważanie chciałbym zakończyć życzeniami. Niech wasza miłość staje się potężną jak śmierć poprzez wzajemne unikanie tego, co rani partnera i zabieganie nie tyle o to, by zaspokoić potrzeby swoje, co partnera.

Sztuka pielęgnowania uczuć

(Rdz 24, 48-51. 58-67)

Drodzy Nowożeńcy! W jednym z naszych czasopism ukazała się seria listów pod wspólnym tytułem *Od miłości do nienawiści*. Jeden z nich zaczyna się: "Wyszłam za mąż mając 22 lata. Perspektywy mieliśmy dobre: ja wykształcona, dobrze zarabiająca, on z zawodem też dobrze płatnym. Materialnie byliśmy zabezpieczeni; zaraz po ślubie kupiliśmy własnościowe mieszkanie, meble, telewizor kolorowy, wszystko o co inni zabiegają latami. Przed ślubem znaliśmy się półtora roku, co dzień spędzaliśmy razem ok. 5-6 godzin. Znajomi mówili o nas: najszcześniejsza para pod słońcem. Słowem: zapowiadała się istna sielanka. Co z tego zostało?"

Nic, absolutnie nic. Żadnych radosnych wspomnień, jedynie awantury, wyzwiska, rękoczynny. Rozwiodłam się... Z perspektywy lat, po małżeńskim piekle, rozwód oceniam jako wyzwolenie. Mężczyźni mnie nie interesują. Boję się bliższych z nimi kontak-

tów, boję się romansów, znajomości – nie chcę na nowo czekać, płakać, przebaczać i znowu nienawidzić”. Dlaczego tak smutny koniec spotyka wiele par tak szczęśliwych na ślubnym kobiercu, jak wy dzisiaj? Co robić, aby miłość nie zanikła, a w końcu nie zamieniła się w nienawiść? Wszak tak mocne uczucia miłości małżonków, jak wasze dzisiaj, jeśli nie są pielęgnowane, zamierają. Natomiast u człowieka nie ma miłości bez uczuć. To prawda, że miłość nie polega na samych uczuciach, bo jest ona także dziełem osobowości partnerów i jej wyrazem, to jednak jej żywość, świeżość i dynamiczność uszczęśliwiająca ich we wspólnym życiu ze sobą pochodzi z uczuć. Stąd też są one niezbędne i zarazem istotne dla jej trwania, jakkolwiek same są nietrwałe. Dlatego też muszą być pielęgnowane, aby nie doszło do ich zaniku. Dzisiejsze pierwsze czytanie z Księgi Rodzaju natomiast ukazuje nam przykład pielęgnacji uczuć w osobie Izaaka, mówiąc że „gdy wziął Rebekę za żonę, kochał ją” (Rdz 24, 67). Zaś w 26 rozdziale jest mowa, że Izaak czule pieścił swą żonę (Rdz 26, 8).

Tymczasem zazwyczaj tylko w początkach miłości i zaraz po ślubie partnerzy starają się wyprzedzać się nawzajem w spełnianiu wzajemnych potrzeb, odgadywać każde ich przejawy, są o siebie zatroskani, są dla siebie wspaniali. Potem wzajemna troskliwość o siebie maleje, obniża się, a w końcu zupełnie zani-

ka. Miejsce osoby kochanej zajmują sprawy inne, materialne, prestiżowe itp. “Nie wyobrażałam sobie – mówi kobieta – że życie nasze początkowo zapowiadające się tak pociągająco, przybierze z czasem charakter listopadowej szarżyzny, świecącej resztkami nie zebranych ostatków. Mąż poza pracą biurową pochłonięty sprawami materialnymi i służbowymi. Bardziej potrzebne mu jest auto niż moja osoba”.

Dlaczego tak się dzieje, że kochana dotychczas osoba schodzi na dalszy plan? Otóż istnieje prawo niebezpiecznego przyzwyczajenia, prowadzącego do zaniedbywania nawet tak wielkiej wartości, jaką jest osoba kochana. Zdobyć partnera i jego uczuć oraz związać go na zawsze ze sobą poprzez przysięgę małżeńską robi wrażenie, że już nic się w tej dziedzinie nie zmieni. Stąd też osoba kochana nie stara się być atrakcyjną dla partnera, bo rzekomo już go „posiadła”. Oczywiście jest to największy błąd wobec uczuć. Dlaczego? Bo właściwością uczuć jest dynamizm poszukujący coraz to nowych wartości w osobie kochanej lub pogłębiania dotychczas poznanych. Stąd partner, który ma poczucie odpowiedzialności za uczucie miłości, winien starać się, by nie tylko nie stracić atrakcyjności, ale nawet ją zwiększyć.

Jakkolwiek atrakcyjność zewnętrzna jest szalenie ważną, jeszcze ważniejszą jest atrakcyjność duchowa, która zresztą nie jest bez wpływu na atrakcyjność ze-

wnętrzną. Twarz nawet urodna, ale ponura, skwaszona, dziwaczna – nie pociąga, ale odpycha. Obcowanie z takim człowiekiem nie należy do przyjemności, nie wzbudza zachwyty, lecz odpycha i prowadzi takiego człowieka do osamotnienia. I odwrotnie: zdarza się, że osobę ani młodą ani ładną nazywamy czarującą właśnie dlatego, że promieniuje ona duchowym wdziękiem, miłym uśmiechem, uprzejmością, dobrocią, i tym pociąga ludzi. Te psychiczne zalety mają w małżeństwie ogromne znaczenie – one właśnie w najwyższym stopniu przyczyniają się do wytworzenia tak ważnej dla domowników miłej, spokojnej i uszczęśliwiającej atmosfery tego rodzinnego gniazda. Kobieta z piętnastoletnim stażem małżeńskim tak to przedstawia: „Jestem kochana i jestem szczęśliwa. Może więc warto się zastanowić, dlaczego jestem kochana? Nie wierzę w to, że miłość jest jedynie darem bogów! Uważam, że miłość jest osiągnięciem, które tak samo, jak wszystkie inne życiowe sukcesy wymaga umiejętności i solidnej pracy. Trzeba nauczyć się kochać i trzeba nauczyć się być kochaną. Kochanym jest się za to, co się sobą przedstawia, a nie za to, że się istnieje! Realizowanie programu, pt. «Kocham Cię więcej niż wczoraj, a mniej niż jutro», jest bardzo trudne i wymaga stałej samokontroli. Dla każdego jest rzeczą oczywistą, że łatwiej kochać smukłego młodzieńca o tajemniczym spojrzeniu, niż np. 36-letniego pana

o zmęczonych oczach, któremu to, co ubyło w obwodzie bicepsów, czas z procentem wynagrodził w obwodzie talii. O wiele łatwiej kochać młodą, ładną, wesołą i elegancką dziewczynę niż zmęczoną, często zirytowaną i trochę zaniedbaną paniusią w wieku średnim – żonę” (*Recepta na szczęście*, s. 129).

Stąd moje życzenia dla was, Nowożeńcy. Chciałem je wyrazić w słowach: niechaj wasze życie będzie przedsmakiem nieba dzięki temu, że uszczęśliwiająca was miłość będzie wciąż świeża, dynamiczna i wspaniałomyślna poprzez waszą usilną troskę, abyście zawsze byli dla siebie najpiękniejszymi.

Inność i przystosowanie się małżonków (Kol 3. 12-17)

Drodzy Nowożeńcy! Na początku chciałbym dopuścić do głosu kobietę, która przeżyła 25 lat życia w małżeństwie, dlatego może mieć coś do powiedzenia wam – decydującym się rozpocząć takie życie. Wspominając początki swego życia we dwoje pisze: „Im dalej było od dnia ślubu, tym szerzej otwierałam oczy ze zdumienia, czy ten on – to ukochany człowiek, czy też ktoś obcy, wrogi. Zaczęłam dużo się nad tym zastanawiać. Niektóre sprawy analizowałam z Karolem. Wreszcie doszłam do rewelacyjnego dla mnie odkrycia. Poznałam prawdę, która nas dzieliła. Kobieta ma inną psychikę, mężczyzna inną... Nigdy się nie rozumieją, mogą tylko usiłować zrozumieć się nawzajem. To tak jakby zamieszkało wspólnie dwoje ludzi z obcych sobie ras... Bo co w jednym języku oznacza białe, to u drugiego czarne... Gdy zrobiłam to odkrycie, chciałam wołać, krzyczeć: Dziewczyno, która wychodzisz za mąż, czy wiesz, że ten twój ukochany to człowiek z innej planety. Nie spo-

dziewaj się, że on będzie się śmiać z tego, z czego ty się śmiejesz, i płakać z tego, co cię zamartwia. Te sprawy życia codziennego, które dla ciebie będą najważniejsze, dla niego mogą być zupełnie nieważne i na odwrót. Jego sprawy najważniejsze mogą być dla ciebie nudne, wstrętne, a nawet budzić u ciebie śmiech politowania. Nie pomogą wspólne ideały, czułe noce, życie będzie was systematycznie rozdzielać. Czemu się tyle pisze, mówi, każe z ambon o szczęśliwości małżeńskiej, a czemu nikt nie oświeci młodych?” (*Nas dwoje*, Kraków 1965, s. 13-14).

Tę odmienność waszych psychik zauważycie w pełni dopiero gdy będziecie z sobą dzielić codzienność, i musicie ją na co dzień poważnie brać pod uwagę, bo gdy będziecie mierzyć drugiego własną miarą, na własny obraz, istnieje duże niebezpieczeństwo, że zniszczycie swoją miłość, gdyż występują wtedy uczucia przeciwne, uczucia zniechęcenia, następują nieporozumienia, łatwo posądzić drugą stronę o złą wolę... Zniszczenie zaś waszej wzajemnej miłości byłoby strasznym bankructwem.

Co robić, aby nie dopuścić do tego? Najpierw starajcie się wzajemnie dobrze poznać, bo w rzeczywistości wy się nie znacie. Ponieważ na waszych twarzach widzę odruch protestu, spróbuję to wyjaśnić. Wy o sobie wiecie dość dużo, ale ta wasza wiedza jest mało odpowiadająca rzeczywistości. Dlaczego?

Po pierwsze, wasze zaangażowanie osobiste sprawia, że obiekt swoich uczuć widzi się przez “różowe okulary” i nie można temu zaradzić, dlatego jesteście nieobiektywnymi „obserwatorami”.

Po drugie, im bardziej rośnie zaangażowanie uczuciowe między narzeczonymi, tym bardziej wpływa to na ich zachowanie względem siebie. Narzeczeni mają ograniczony czas, który mogą spędzić razem, jest więc rzeczą naturalną, że w tych chwilach starają się specjalnie zadbać o swój wygląd zewnętrzny, ale nie tylko: także mobilizują się wewnętrznie. A zatem również „obiekt” obserwacji, będąc pod presją uczuć, wygląda i zachowuje się inaczej i nie ma to nic wspólnego z obłudą czy zakłamaniami.

Po trzecie, czas, który narzeczeni spędzają wspólnie, przeznaczony jest zwykle na odpoczynek, zabawę i rozrywki, a wtedy znacznie łatwiej jest być dla kogoś miłym, łatwiej także o dobry nastrój, takt i nie-naganne maniery. Wszystko to sprawia, że obraz partnera, jaki tworzy się w okresie narzeczeństwa, jest zazwyczaj daleki od rzeczywistości.

To wasze wzajemne poznanie zaś jest niemożliwe szczególnie dzięki przezroczystości i empatii. Co to jest przezroczystość? Jest to szczerłość, otwartość. Chciałbym jednak ostrzec, że szczerłość jest nierzadko mylnie rozumiana. „Powie ci szczerze, że jesteś głupi” – mówi taka osoba. To nie jest bynajmniej

szczerłość, lecz obraźliwe ocenianie drugiego. Prawdziwie pojmowana przezroczystość, czyli szczerłość i otwartość, polega na zgodności tego, co się mówi, z tym, co się przeżywa, na daniu się poznać, pokazaniu się takim, jakim się jest, co się odczuwa i czego oczekuje, mówiąc np. „To mnie cieszy” lub „To sprawia mi przyjemność”.

A empatia? Polega na uczuciowym utożsamieniu się z inną osobą i wywoływaniu w sobie uczuć, które ona przeżywa, aby ją lepiej zrozumieć. Oczywiście, że własne domysły można pomylić z faktycznym stanem rzeczy. I dlatego trzeba kontrolować się, czy nasze rozumienie jest prawdziwe. Jak to robić? Najlepiej zapytać, czy moje rozumienie jest właściwe.

Jak postępować w trakcie odkrywania inności drugiego? Odpowiedź daje nam Pan przez św. Pawła: „Jako wybrańcy Boży, święci i umiłowani, obleczcie się w serdeczne miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość, znosząc jedni drugich i wybacząc sobie nawzajem, jeśli by miał ktoś zarzut przeciw drugiemu: jak Pan wybaczył wam, tak i wy” (Kol 3, 12-13). Jak rozumieć te słowa?

Słowa „jako wybrańcy Boży, święci i umiłowani” przypominają nam odwieczną miłość Boga, którą zostaliśmy umiłowani. Doświadczając ogromnej Bożej miłości mamy ją odwzorowywać w postawie wobec drugiego. Konkretnie mówiąc: we wzajemnym

odnoszeniu się do siebie macie się kierować serdecznym miłosierdziem, dobrocią, pokorą, cichością, czyli łagodnością i cierpliwością.

Z tego zaś wynika, że znając drugiego, a dokładniej mówiąc: poznając drugiego, winniśmy unikać tego, co sprawia mu przykrość, np. dominującymi wartościami w odczuciu mężczyzny są: siła i sprawność – zarówno fizyczna jak i umysłowa – przedsiębiorczość i odwaga. To jest newralgiczny punkt w mężczyźnie. Stąd mężczyzna, gdy nie jest doceniany od strony tych wartości, a co gorsze urażony, np. poprzez słowo niedołęga, reaguje mocno, a nawet gwałtownie, co nierzadko jest powodem niepotrzebnego starcia.

Następna sprawa to „obleczcie się w serdeczne miłosierdzie... znosząc jedni drugich” (Kol 3, 12-13). Cytowana na początku kobieta dodaje: „Osobowość tak kobiety, jak i mężczyzny nie zatraca się w małżeństwie, może być tylko stłamszona przez silniejszą indywidualność. Ale zostaje, drzemie i czuje swoją klęskę. Jak niewolnik, który musi cierpieć i służyć. Ale może przyjść dzień i niewolnik ocknie się i zrywa pęta. Gdy taki dzień przyjdzie w małżeństwie, pada słowo «rozwód». Nie wolno żadnej ze stron podporządkować swojej psychice psychiki drugiego” (*Nas dwoje*, s. 14).

Jaką formę ma przybrać „znoszenie się” nawzajem? Najlepiej, jeśli będzie to akomodacja. Polega

ona na tym, że małżonkowie dostrzegając rozbieżności podejmują rzeczową rozmowę, aby wypracować nowe wspólne modele zachowań i ocen poprzez wspólną korektę dotychczasowych modeli, która polega na wycofaniu się z błędnych stanowisk dotychczas zajmowanych, by przyjąć to, co słuszne u partnera. Tutaj żadna ze stron nie musi się podporządkować drugiej stronie, oboje w równej mierze wypracowują nowe wartości.

Ponieważ podczas takiej rozmowy jest łatwo drugą stronę urazić, sprawić jej przykrość, koniecznym staje się ostatnia wskazówka św. Pawła: „Obleczcie się w serdeczne miłosierdzie... wybacząc sobie nawzajem, jeśliby miał ktos zarzut przeciw drugiemu: jak Pan wybaczył wam, tak i wy!” (Kol 3, 12-14). Jedna z uczestniczek ankiety *Nas dwoje* tak o tym pisze: „Mamy zupełnie różne usposobienie i charaktery, w związku z czym powstają nieraz bolesne tarcia, ale nie uważam, żeby komukolwiek z nas przynosiły szkodę. Zawsze któreś z nas, przeważnie ten, kto ma w danej chwili rację i przewagę, wyciąga wspólną rękę do przeciwnika, co nie odbywa się bez walki wewnętrznej, która kształtuje charakter nawet dorosłych już ludzi... Po każdym starciu łągamy do siebie coraz bardziej” (*Nas dwoje*, s. 136-137).

Gdy dzisiaj tak często życzy się wam, abyście byli ze sobą szczęśliwi, jak dzisiaj, pozwólcie, że ja to

wyrażę konkretnie: Niechaj Pan, który was najlepiej zna, pozwoli wam się wzajemnie poznać i przystosować, „zestroić się” ze sobą, a przy tym niech jak najmniej będzie potrzebne słowo „przepraszam”.

Przystosowanie się małżonków poprzez akomodację (Rdz 1, 26-28. 31a)

Drodzy Nowożeńcy! Dzisiaj przekroczyliśmy próg świątyni pełni szczęścia i radości, bo jesteście parą zespoloną najściślejszym węzłem, jaki może zjednoczyć człowieka z człowiekiem, tj. miłością. Bo czujecie się harmonijnie zestrojeni ze sobą. Gdy jednak od dziś będziecie dzielić ze sobą codzienność, po pierwszych chwilach uniesienia serc odkryjecie, że jesteście dwoma zupełnie różnymi światami, bo cechuje was różny sposób myślenia, reagowania, zachowania. Dzieli was odmienna dotychczasowa historia życia, odmienne stosunki panujące w waszych rodzinnych domach. Dzielią was wygórowane oczekiwania wskutek wyidealizowania partnera, bo po ślubie odkryjecie u siebie słabości i braki, co wywoła rozczarowanie.

Stąd też nie będzie wam łatwo być ze sobą, nie będzie łatwo przystosować się do siebie, a od pomyślnego rozwiązania problemu przystosowania się zależy całość waszego wspólnego życia. Aby nie stracić kontaktu z ży-

ciem, posłuchajmy, jak przedstawia jeden z uczestników ankiety *Nas dwoje* rozdźwięki na tle stosunku do dzieci. „Ja od samego początku starałem się zawsze być stanowczy i konsekwentny, apodyktyczny i wymagający. Żona przeciwnie. Uważając, że dzieciom należy się dużo ciepła (w tym na pewno miała rację), chciała je otoczyć cieplarnianą atmosferą i wychować – jak to nazywałem – «pod kloszem». Odnosiło się to zwłaszcza do młodszej córki. Żona brała ją na kolana w czasie jedzenia i karmiła, podczas gdy dziecko (już kilkuletnie), nie angażując się zupełnie w sprawę jedzenia, rozkładało wokół talerzy zabawki i bawiło się w najlepsze. Nie mogłem na to patrzeć spokojnie, nerwy mnie ponosiły. Krzyczałem, odbierałem zabawki, chowałem na piec lub na szafę. Dziecko zanosilo się od płaczu uważając, że mu wyrządzono okrutną krzywdę, wtedy żona stawiała w jego obronie, wyrzucając mi brak serca i ojcowskiej miłości, nazywając mnie «katem» i «tyranem». To doprowadzało mnie do jeszcze większej pasji, rzucałem jedzenie i zamykałem się w swoim pokoju. Potem wieczorem znów było między nami dobrze, ale obopólny uraz pozostawał. Sprawa niewłaściwego podejścia do dzieci i nieodpowiedniego traktowania wobec nich moich uwag było głównym powodem naszych małżeńskich nieporozumień. Wybuchaly kłótnie i przykre awantury, podczas których mówiliśmy sobie dużo niepotrzebnych, przykrych słów podniesionym głosem. Na tym

punkcie nie mogliśmy się nigdy pogodzić i wzajemnie wyrzucaliśmy sobie niewłaściwe podejście do dzieci. Ona mnie: oschłość i surowość, ja jej: przesadną czułość i rozbijającą z samodzielności i energii życiowej ślamazarność i mazgajowatość.

Dzisiaj wydaje mi się, że na pewno oboje mieliśmy częściowo rację, ale przez dłuższy czas nie umieliśmy się zdobyć na ustępstwo. Obok słusznych niewątpliwie postulatów samowystarczalności i zaradności życiowej, jakie wygłaszałem krytykując przesadne roztkliwianie się nad dziećmi, do głosu dochodziła u mnie nuta miłości własnej i egoizmu męskiego. Po prostu byłem zły na dzieci, że odrywają Lunkę ode mnie, że gross czasu, który przedtem poświęcała wyłącznie mnie, teraz poświęca dzieciom” (*Nas dwoje*, s. 243-244). W jaki sposób powinni zgrać się ze sobą ci małżonkowie? Jak winno wyglądać wasze zgranie się? I w ogóle jak mają się zgrać dwie różne osobowości? Istnieją trzy formy: tolerancja, asymilacja i akomodacja. Najpierw tolerancja. Ma ona miejsce wówczas, kiedy żadna ze stron nie zmienia swojego postępowania ani nie wpływa na zmianę postępowania swojego partnera. W codziennym życiu jest to jednak prawie niemożliwe. Nawiązując do przedstawionej sytuacji chciałbym postawić pytanie: czy możliwa jest tolerancja w tak ważnej sprawie, jak wychowanie dzieci przy tak skrajnych podejściach do stylu wychowania? Jeśli

nawet w wyniku konsekwentnego przestrzegania zasady tolerancji między małżonkami nie dochodzi do otwartych konfliktów, ich małżeństwo nie przejawia również spoistości, ponieważ każdy z partnerów prowadzi swoje własne, odrębne życie.

Następna forma to asymilacja. Występuje wtedy, gdy słabszy partner rezygnuje z postaw, zachowań czy oczekiwań osobistych oraz akceptuje skalę ocen, norm wartości osobowości silniejszej, dominującej. Taki rodzaj przystosowania jest niemożliwy, jeżeli spotykają się dwie osobowości, które chcą dominować i kierować. Ponadto jest niebezpieczny. Kobieta po 25 latach życia w małżeństwie ostrzega: „Osobowość tak kobiety, jak mężczyzny nie zatracą się w małżeństwie, może być tylko stłamszona przez silniejszą indywidualność. Ale zostaje, drzemie i czuje swoją klęskę. Jak niewolnik, który musi cierpieć i służyć. Ale może przyjść dzień i niewolnik ocknie się i zrywa pęta. Gdy taki dzień przyjdzie w małżeństwie, pada słowo – rozwód. Nie wolno żadnej ze stron podporządkować swojej psychice psychiki drugiego” (*Nas dwoje*, s. 14). W sytuacji wyjętej z życia sam wypowiedający się ojciec dzieci zauważa, że ani on, ani jego żona nie zajęli odpowiedniego stanowiska w kwestii wychowywania dzieci. I słusznie. W takiej zaś sytuacji, gdyby stał się obowiązującą normą styl wychowywania jednej ze stron, dokonałoby się to z krzywdą dla dzieci.

Najlepszą formą wzajemnego przystosowania się do siebie jest akomodacja. Zachodzi wtedy, gdy małżonkowie dostrzegając rozbieżności podejmują wspólny wysiłek, by wypracować nowe wspólne modele zachowań i ocen. Taki sposób przystosowania się małżonków do siebie najbardziej odpowiada Bożemu planowi wyrażonemu w dzisiejszym pierwszym czytaniu z Księgi Rodzaju. Mianowicie zarówno kobieta, jak i mężczyzna posiadają godność ludzką, różnią się tylko tym, że są mężczyzną i kobietą, czyli płcią. Obydwoje są żywym obrazem Boga w świecie. I wreszcie obydwójce są odpowiedzialni za przekazywanie życia i panowania nad światem. Tutaj żadna ze stron nie musi się podporządkować drugiej stronie. Oboje w równej mierze wypracowują nowe wartości. Również w interesującej nas sytuacji i jedna, i druga strona musi zmienić podejście do sprawy wychowywania dzieci poprzez wycofanie się z tych stanowisk, które były błędne, i wypracowanie nowego stylu. To zaś ich mocno zbliża do siebie, sprzyja poczuciu solidarności i jedności, ułatwia stworzenie prawdziwej wspólnoty życia, dzięki której oboje stają się dla siebie przyjaciółmi. Umożliwia też trwałe, harmonijne i szczęśliwe życie we dwoje.

Dlatego, gdy wszyscy życzą wam, abyście byli szczęśliwi ze sobą, chciałbym dodać – dzięki przystosowaniu się do siebie poprzez akomodację.

Wzajemne wychowywanie się (1 P 3, 1-9)

Drodzy Nowożeńcy! Nie ma żadnej sprawy, z którą by ludzie wiązali tak wiele nadziei, jak wiążą z życiem we dwoje, na które i wy zdecydowaliście się. W wyobraźni nowożeńców często karty nadchodzącego życia są zapisane w stylu sielanki. Jednak po pierwszym zachłyśnięciu się wspólnotą codziennego życia wracają osobiste przyzwyczajenia, nawyk dysponowania swoim czasem, życie towarzyskie – i nagle zaczyna uwierać ograniczenie, uzależnienie od drugiego człowieka, konieczność uzgadniania podejmowanych decyzji. I co ciekawe, tym bardziej zagrożona jest i wasza miłość, im bardziej intensywnie, im bardziej w sposób szalony jest przez was przeżywana. Dla dalszych losów waszej miłości i losów małżeństwa znaczenie ma przebieg tego pierwszego kryzysu w waszym wspólnym życiu, ma postawa, jaką każde z was przyjmuje w sytuacji rozczarowania.

W takiej sytuacji najczęściej podejmuje się próby „wychowania” sobie partnera. Co o tym sądzić?

Po wielu latach wychowywania w domu, w przedszkolu, w szkole i w miejscu pracy, a jeśli chodzi o mężczyznę, dodatkowo często jeszcze w wojsku, każdy człowiek ma tego „wychowywania” dosyć. Dlatego przy próbach wzajemnego „wychowywania” zbędne konflikty na tym tle będą nie do uniknięcia. Próby te udają się właściwie tylko wtedy, gdy „wychowywany” akceptuje widzianą oczami współmałżonka swoją wizję osobowości i czynnie współpracuje. Wykluczony jest zatem wszelki nacisk, a zwłaszcza przymus. Trzeba także dużego taktu i delikatności, umiaru i cierpliwości, aby proces przekształcania cudzych postaw, zmiany nawyków i upodobań przebiegał spokojnie, bez zakłóceń i napięć, dając równocześnie pożądane efekty. Potrzeba wreszcie wyczucia, intuicji nakreślającej granice oddziaływania na drugą dorosłą osobę.

Święty Piotr Apostoł w pierwszym czytaniu poleca nam inną, lepszą metodę wychowawczą. Mianowicie zaleca żonom tych, którzy nie chcą wypełniać poleceń wiary w życiu, nawet słyszeć o nich, choć uwierzyli i przyjęli chrzest, aby zdobyły swoich mężów dla wiary nie słowami, lecz swoim przykładem, czyli postępowaniem odznaczającym się chrześcijańskimi zaletami. Zaleca więc samowychowanie, aby zdobywać apostołstwem przykładu. Nie tylko w sprawach religijności, ale we wszystkim najlepiej przyjąć

od początku zasadę, że w małżeństwie należy wychowywać wyłącznie siebie. I kobieta, i mężczyzna cały swój potencjał w tej dziedzinie, wszystkie zapędy pedagogiczne winni skierować ku temu, żeby jak najlepiej wywiązać się ze swojej roli męża i żony. Takie nastawienie wróży obojgu szybki postęp w budowaniu szczęśliwego małżeństwa.

Jednak w praktyce urzeczywistnianie tej postawy jest bardzo trudne. Dużo łatwiej jest bowiem widzieć krytycznie postępowanie czyjeś niż własne. Stąd powstaje naturalna skłonność do przypisywania współmałżonkowi winy za pewne trudności we wspólnym życiu, co pociąga za sobą skłonność do poprawiania sytuacji w małżeństwie poprzez próby korygowania drugiej strony. Przestrzeganie zasady niewychowania partnera utrudnia nam także istnienie w każdym z nas wyobrażeń o modelu idealnego małżeństwa i idealnego współmałżonka.

Pozbycie się fałszywej tendencji wychowywania partnera przychodzi tym łatwiej, im bardziej uda się człowiekowi osiągnąć wewnętrzną akceptację jego osoby. Wewnętrzna zgoda na to, że on jest taki, jaki jest, stanowi właściwy punkt wyjścia dla rzeczywistej współpracy małżonków nad własnym rozwojem. Prawdziwa mądrość małżonków polega na akceptowaniu partnera nie tylko w tym, co o nim już wiemy, ale także w tym, co pozostaje jeszcze zakryte.

Do stosowania takiej metody wychowawczej w małżeństwie niech was przekona wypowiedź jednej z uczestniczek ankiety „recepta na szczęście” ogłoszonej przez tygodnik „Kobieta i Życie”: „Wydaje mi się, że wiele małżeńskich kłopotów wpływa ze źle pojętego wychowywania się nawzajem. Jest chyba dużym błędem metodycznym to, że zamiast stale kontrolować i oceniać własne postępowanie, mamy inklinację do kontroli i oceny postępowania męża. Wzajemne wychowanie na pewno istnieje w małżeństwie, ale przebiega inaczej. Jak? [...] Uważam, że gdyby mąż nie był dla mnie rycerski, to pewnie nie ogarniałby mnie wstyd, że nie potrafiłam zapanować nad złością. I odwrotnie, gdybym często nie potrafiła panować nad złością, to pewnie mąż nie byłby dla mnie tak rycerski. Może gdybym niezależnie od zmęczenia i zniecierpliwienia nie potrafiła wysłuchać historii jego zawodowych i społecznych klęsk i sukcesów... Może gdybym nie potrafiła przełamać w sobie niechęci do jego matki (przełamać, a nie ukryć), to nie lubiłby tak serdecznie mojej, itd., itd. Chyba nie można ustalić, co jest przyczyną, a co skutkiem – i chyba nie trzeba. Można i należy stwierdzić, że takie właśnie wzajemne wychowywanie się jest wzrostem, rozwojem i utrwalaniem miłości” (M. Mankiewicz, *Recepta na szczęście*, s. 131-132).

Tę chwilę naszej wspólnej refleksji chciałbym zakończyć serdecznym życzeniem dla was, Nowożeńcy, abyście się wzajemnie wychowywali według wskazówki św. Piotra Apostoła, to jest poprzez samowychowywanie, i to od dzisiaj.

Dzielić ciężar życia (Rdz 2, 18-24)

Drodzy Nowożeńcy! Przeżywacie jeden z najpiękniejszych dni swojego życia. To do was życzliwie uśmiecha się wiele bliskich wam osób, a ich serca biją równo z waszymi. To dla was gra orkiestra. Ileż życzeń otrzymujecie od życzliwych wam osób. Aby przybliżyć spełnienie się ich, wręczają wam prezenty. Ileż wiązanek kwiatów otrzymujecie, a ileż toastów wznosi się na waszą cześć. Tak kończy się piękny okres miłości narzeczeńskiej, a rozpoczyna się szalenie trudny okres miłości małżeńskiej.

Pierwszym doświadczeniem niemal każdego młodego małżeństwa, a zarazem, na ogół, pierwszą niespodzianką, niemiłą i dotkliwą, są zwiększone obowiązki, zwiększony ciężar życia, podwójna praca. Proza życia wkracza tak bezwzględnie, że nieraz stanowi pierwszy bardzo poważny kryzys. Przepracowanie, stałe poczucie znużenia, a zarazem nienadążanie z obowiązkami, to próba, która okaże się dla was trudna, jeśli nie ponad siły. Ponad siły – bo nie

stwarza możliwości uzyskania dystansu wobec życia, niezbędnego do skupienia się, refleksji, właściwego ustawienia hierarchii wartości. W poczuciu zagonienia, znużenia i pośpiechu nie sposób odnaleźć wyrozumiałości i spokoju tak potrzebnego dla podtrzymania uczucia miłości. Ten problem występuje szczególnie ostro w małżeństwach odchowujących dopiero dzieci i w małżeństwach, w których obydwójce pracują zawodowo i jest nie do zniesienia, jeżeli nie jest odpowiednio rozwiązana sprawa podziału prac i obowiązków. Jak zatem winna być rozwiązana? Co chce nam powiedzieć na ten temat sam Bóg?

W pierwszym czytaniu słyszeliśmy słowa z Księgi Rodzaju: „Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam: uczynię mu zatem odpowiednią dla niego pomoc” (Rdz 2, 18). Jak rozumieć to, że kobieta ma być pomocą mężczyzny? Czyżby kobieta miała być służącą mężczyzny, jak to uważa wielu czytelników? Ależ bynajmniej, ponieważ tym słowem w Piśmie Świętym Starego Testamentu jest często określany Bóg w relacji do swego ludu (por. Wj 18, 4; Pwt 33, 7; Ps 27, 9; 33, 20; 146, 5). Potwierdza to również przymiotnik określający ową pomoc: „odpowiednią dla niego”. W odróżnieniu od wszystkich innych istot zamieszkujących ziemię, tylko kobieta może być rzeczywiście partnerem mężczyzny, a nie tylko siłą roboczą mężczyzny czy narzędziem zaspokajania popędu seksualnego czy wreszcie narzę-

dziem do rodzenia potomstwa. Bóg przeznaczył bowiem mężczyźnie całą kobietę, a nie tylko jakąś jej funkcję. Samotność i brak pełnego szczęścia mężczyzny może być usunięta tylko przez cielesno-duchowe spotkanie z człowiekiem innej płci. Kobieta ma być zatem „pomocą” mężczyzny w najszerszym tego słowa znaczeniu, czyli współodczuwającą i współodpowiedzialną partnerką mężczyzny (i odwrotnie) oraz szczęściem w jego duchowej i cielesnej samotności. A zatem sens tego obrazu jest następujący: jedno dla drugiego – nie tylko kobieta dla mężczyzny, ale i mężczyzna dla kobiety – jest „pomocą” w sensie ekonomicznym, biologicznym, a przede wszystkim egzystencjalnym, tj. w osiągnięciu pełni człowieczeństwa.

Podobną treść zawiera następny obraz stworzenia kobiety z żebra mężczyzny. Chce bowiem wyrazić ideę jedynej w swoim rodzaju bliskości mężczyzny i kobiety. Żebro bowiem znajduje się w pobliżu serca, stąd trafną jest interpretacja, którą znajdujemy w Talmudzie: „Bóg nie stworzył niewiasty z głowy mężczyzny, aby mu rozkazywała, ani z nóg, aby była jego niewolnicą. Stworzył ją z jego boku, aby była bliska jego sercu”. Zresztą jeszcze dziś w krajach arabskich dla wyrażenia, że ktoś jest czyimś serdecznym przyjacielem, używa się zwrotu: jest moim żebrzem. Ponadto szczegół uśpienia Adama sygnalizuje, że nie brał on żadnego udziału w powstaniu

swej towarzyszki, otrzymał ją w darze i dlatego nie może rościć sobie pretensji do jakiegokolwiek władztwa nad nią. Tak też mężczyzna zrozumiał Boży zamysł i przyjął Ewę jako dar wspaniały, czemu dał wyraz w słowach: „Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała” (Rdz 2, 23). Wyrażenie to bowiem oznacza bliskie pokrewieństwo (por. Rdz 29, 14; 37, 27; Sdz 9, 2; 1 Sm 5, 1).

Tendencja do dominacji w miejsce harmonii w międzyosobowej relacji kobieta–mężczyzna nie jest czymś normalnym, zdrowym. W trzecim rozdziale Księgi Rodzaju, a zwłaszcza w słowach wyroku skierowanego do kobiety: „On zaś będzie panował nad tobą” (Rdz 3, 16), pojawienie się despotycznego instynktu u mężczyzny w miejsce wcześniejszej partnerskiej solidarności międzyosobowej jest wytłumaczone grzechem. Jest więc stanem grzesznym. Jest owocem grzechu.

A zatem jedynie zgodnym z myślą Biblii jest partnerski model małżeństwa, także w kwestii podziału prac i obowiązków w małżeństwie. Jak to powinno konkretnie wyglądać w małżeństwie? Na pewno nie może to być prymitywna równość polegająca na identyczności wykonywanych prac, np. każdy pierze swoje rzeczy, zmywa po sobie itp., co jest po prostu nieekonomiczne i oddala małżonków od siebie. Rozsądny podział zajęć bierze pod uwagę możliwości partnera, np. prace wymagające dużego wysiłku fi-

zycznego powinny należeć do partnera, który dysponuje większą siłą mięśni, a więc do mężczyzny. Ale nie tylko. Rozsądny podział zajęć oprócz możliwości partnera bierze pod uwagę także jego umiejętności, a zmierza do tego, żeby jeden służył drugiemu i dbał o to, by drugi nie miał zbyt dużo pracy.

Pragnąc waszego szczęścia chciałbym wam życzyć, abyście zawsze w sposób uczciwy dzielili wspólny ciężar życia, czyli bez nadmiernego eksploatowania współmałżonka, a zarazem abyście byli ofiarni i wspa-
niałomyślni w podejściu do sprawy podziału prac i obowiązków.

Kto ma decydować? (Ef 5, 2, 2a. 21-33)

Drodzy Nowożeńcy! Jak wszyscy na starcie do życia małżeńskiego jesteście pełni ufności, nadziei i radosnych oczekiwań. Doświadczenie jednak uczy, że na rozpoczynających życie we dwoje czeka raczej szereg trudnych problemów. Od ich rozwiązania zależy, czy będziecie szczęśliwymi małżonkami czy też nie kończące się wasze zmagania zniszczą łączącą was miłość, a dom zamienią w „piekło na ziemi”.

Jednym z najważniejszych problemów jest kwestia – kto ma decydować o wspólnych sprawach? Kto uważnie słucha liturgii słowa, zapewne odpowie, że mąż, bo św. Paweł uczy: „Żony niechaj będą poddane swym mężom” (Ef 5, 22). Czy naprawdę w ten sposób chce ustawić sprawę św. Paweł?

Przed takim tendencyjnym rozumieniem ostrzega nas już poprzedzający to zdanie wiersz: „Bądźcie sobie wzajemnie poddani w bojaźni Chrystusowej” (Ef 5, 21). Następnie św. Paweł bierze żony w obronę; ponieważ według hellenistycznej zasady (mąż,

pater familias, głowa żony) żona była zupełnie zniewolona przez męża, dlatego ma być poddana mężowi – Apostoł dodaje motywację: „jak Panu”. W takiej sytuacji już nie mąż jest panem żony – jak chcieli poganie – lecz Chrystus, a poddanie się żony mężowi wypływa z jej radykalnego poddania się jednemu Panu, to jest Chrystusowi. Zauważmy, że jakkolwiek św. Paweł głosi radykalną, rewolucyjną zasadę wolności i równości wszystkich (np. Rz 10, 12) nie wprowadza jej w struktury rodzinne. Dlaczego? Ponieważ dla współczesnych świętemu Pawłowi było to nie do przyjęcia. Potrzeba było czasu, by powstała nowa mentalność i nowe struktury rodzinne. Jednak chrześcijańska motywacja „jak Panu” będzie powoli przetwarzać stare struktury i łagodzić wzajemne odniesienia w rodzinie, a teologiczna zasada równości i wolności duchowej będzie formować nową świadomość równości i wolności duchowej.

Należy również zwrócić uwagę na słowo wyrażające poddanie żon mężom (*hypotassomenai*). Otóż w listach św. Pawła słowo to w stronie czynnej oznacza podporządkowanie niedobrowolne, a jego podmiotem jest Bóg. Bóg realizuje swoje suwerenne panowanie nad światem, wprowadzając podporządkowanie i poddanie (por. I Kor 15, 27; Ef 1. 22). Gdy jednak czasownik ten występuje w stronie biernej, jak w tym wypadku, wyraża poddanie dobrowolne,

wyływające z własnego przekonania (np. 1 Kor 15, 28; 16, 16). Stąd też poddanie żon mężom nie ma charakteru przymusowego, niewolniczego; nie jest to poddanie niższego w godności ani też poddanie człowieka, który nie ma możliwości lub prawa własnej wolnej decyzji. Jest to oddanie się i podporządkowanie służbie, która charakteryzuje chrześcijanina wyzwolonego przez Chrystusa z egoizmu. Trzeba również zwrócić uwagę na to, że Chrystus jest głową Kościoła jako Zbawca, tzn. dzięki swojej ofiarnej miłości względem Kościoła (por. Ef 5, 23. 25). Może więc żądać od Kościoła wzajemności – poddania Jemu. Jeśli więc żony mają być poddane mężom, to tylko ze względu na miłość mężów dla nich. Stąd też wynika nakaz świętego Pawła: „Mężowie miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół” (Ef 5, 25). To żądanie św. Pawła brzmiało rewolucyjnie, ponieważ według starożytnych do istotnych obowiązków męża nie należy miłość, lecz panowanie, i dlatego według Plutarcha czy Seneki obowiązkiem żony jest posłuszeństwo, a obowiązkiem męża panowanie. Dalej, św. Paweł zwraca uwagę, że skoro mężczyzna czuje się głową żony, to nigdy nie nienawidzi swojego ciała, lecz troszczy się o nie.

Najmocniejszą poprawką do hellenistycznej zasady życia rodzinnego jest cytat z Księgi Rodzaju, gdzie nie tylko mężczyzna, lecz także kobieta jest

“wyobrażeniem Boga”, gdzie oboje są człowiekiem, tylko męskim (*zakar*) i niewieścim (*negebah*), a autor stosuje dla określenia mężczyzny i kobiety nie rzeczowniki, lecz przymiotniki, bo chce podkreślić, że konkretny człowiek istnieje w dwojakiej postaci, że są równi sobie, a różni ich tylko płeć (por. Rdz 1, 27). Cytując zatem Księgę Rodzaju św. Paweł podkreślił już nie tyle poddanie, ile partnerstwo. I dlatego można sądzić, że gdyby dzisiaj pisał św. Paweł na ten temat – wolny od struktur społecznych swoich czasów – porzuciłby anachroniczny obraz ciała i głowy, a w obrazie zaślubin Chrystusa z Kościołem jeszcze mocniej podkreślałby miłość między Chrystusem i Kościołem, w której ma uczestniczyć miłość małżonków. A zatem do sprawy decydowania o wspólnych sprawach należy podchodzić w sposób partnerski. Taki jest duch chrześcijaństwa.

Jeżeli natomiast jeden z partnerów okaże się mocniejszy i zdoła podporządkować sobie współmałżonka, to znowu obie strony bardzo wiele tracą. Osoba podporządkowana zostaje bowiem ograniczona w swojej wolności osobistej, czyli w pewnym zakresie zniewolona, a taka sytuacja jest źródłem głębokich frustracji hamujących proces dojrzewania wewnętrznego człowieka. Stratę ponosi także „zwycięzca”, ponieważ zniewolony partner przestaje być współtwórcą ich wspólnoty małżeńskiej. Jeżeli na

przykład „zwycięzcą” okaże się mężczyzna, to będzie miał w domu bezpłatną kucharkę, wychowawczynię swoich dzieci itp., ale nie będzie miał żony, to znaczy najbliższego przyjaciela, osoby, z którą może dzielić swoje sprawy i która może mu dać prawdziwe oparcie w trudnych chwilach.

Jak powinien dokonać się podział uprawnień do decydowania w małżeństwie? Generalną zasadą winno być rozdzielenie uprawnień decyzyjnych odpowiednie do podziału zadań, który musi istnieć w każdym małżeństwie, ponieważ osoba zaangażowana na danym polu życia małżeńskiego lepiej zna problemy powstające w tej dziedzinie, np. jeżeli żona prowadzi kuchnię, ona też winna mieć możliwość decydowania w rozwiązywaniu problemów wynikłych z tego zakresu.

Właściwe „zestrojenie się” małżeństwa w tej sferze wymaga także od obojga małżonków dojrzałości w przyjmowaniu decyzji podejmowanych przez partnera, czyli dojrzałej lojalności. Szczególnie zaś trudno jest zaakceptować decyzję, którą ocenia się jako niesłuszną. Dojrzała lojalność małżonków to nie tylko pozwolenie partnerowi na rozwiązywanie stojących przed nim problemów „po swojemu”, ale także na dopomaganiu mu w tym, aby to, co partner zamierzył, przyniosło jak najlepsze rezultaty. Więcej – dojrzała lojalność domaga się zaniechania krytyki partnera, jeżeli to, co zamierzył, nie wyszło mu naj-

lepiej. Przeżywanie satysfakcji z tego, że partner upierając się przy swoim zdaniu potknął się, jest dużą pokusą, ale mądrość nakazuje zrobić wszystko, by powstrzymać się od tego rodzaju reakcji. Tylko wtedy bowiem mogą z czasem wytworzyć się psychologiczne warunki sprzyjające wykorzystywaniu doświadczeń przez partnera do dalszego sensownego postępowania, a pożytek, jaki z tego wyniknie, stanie się udziałem obojga.

Nasze rozważanie chciałbym zakończyć płynącym z głębi serca życzeniem, abyście byli dalecy od walki o berło. Przeciwnie, dzielcie uprawnienia do decydowania w sposób godny osób, które spośród wielu innych wybrały siebie, aby zostać na całe życie razem.

Sztuka dialogu w małżeństwie

(1 P 3, 1-9; J 17, 21-23)

Drodzy Nowożeńcy! „Wszystkie rodziny szczęśliwe są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Tym zdaniem Lew Tołstoj rozpoczyna swą powieść *Anna Karenina*. Zdaję sobie sprawę, że jeśli was w tym momencie coś naprawdę interesuje, to odpowiedź na pytanie: w czym tkwi sekret szczęścia rodzinnego, dzięki któremu rodziny szczęśliwe są do siebie podobne?

Otóż obserwując szczęśliwe małżeństwa i rodziny zauważamy, że stanowią wspólnotę, czyli Chrystusowe „jedno”, które w dzisiejszej Ewangelii porównuje do swojej jedności z Bogiem Ojcem, a więc jedno pod względem nie tylko cielesnym, ale i duchowym (por. J 1, 21). Dlatego św. Piotr zachęca was: „Bądźcie jednomyślni, współczujący” (1 P 3, 8). Aby jednak zaistniała ta jednomyślność i współodczuwanie, konieczny jest prawdziwy dialog. Natomiast zakłócenie lub całkowite zerwanie dialogu świadczy

o kryzysie małżeńskim i rodzinnym, który nierzadko kończy się małżeńską i rodzinną katastrofą. Albowiem brak dialogu sprawia, że partnerzy psychicznie coraz bardziej się oddalają, pogłębiają wzajemne uprzedzenia, odczuwają w sposób bolesny osamotnienie, stają się rozdrażnieni i – często przez błahę sprawę – odnoszą się do siebie agresywnie, nawet zdecydowanie wrogo.

Na czym więc polega dialog? Na rozmowie, podczas której partnerzy wymieniają swoje prawdziwe myśli, sądy i opinie. Niestety, ale sztuka dialogu stoi u nas na niskim poziomie, a niekiedy to nawet przypomina coś, co Francuzi określają *dialogue des sourds*. Znaczy dosłownie „rozmowa głuchych”, czyli rozmowę, w której partnerzy nie zwracają uwagi na to, co mówi druga strona. Tak więc technicznym niemal warunkiem, który musi być spełniony, żeby móc zrozumieć kogokolwiek poza sobą samym, jest umiejętność słuchania. Prowadzenie dialogu wymaga także uznania partnera za równego sobie, patrzenia na niego jako na osobę wolną, z wykształconą własną indywidualnością. Następnym koniecznym warunkiem to przejawianie szacunku dla partnera i jego poglądów, przekonanie o jego dobrej wierze i dobrej woli. Wreszcie, aby dialog miał właściwy przebieg, partnerzy muszą świadomie przejawiać postawę otwartą, która wyraża się w chęci przyjęcia przemyśleń i podzielenia się własnymi.

Gdy zaś idzie o przekazywanie swoich myśli, odczuć, sądów i pragnień, należy to robić szczerze i otwarcie, a więc zgodnie z tym, co się myśli i czuje i w sposób bezpośredni, czyli czytelnie przedstawiać to, co się w nas i z nami aktualnie dzieje, zarówno emocje pozytywne, jak i negatywne. Jednak szczerść i otwartość nie może być rozumiana jako przyzwolenie na sprawianie innym przykrości (mówiąc np. „Jesteś tak niezgrabna, że ta sukienka nic ci nie pomoże”), wywoływanie awantur, czy mówienie o niedociągnięciach partnera w sposób, który rani i upokarza (np. wyznając: „Jesteś tak samo tępy, jak twój szanowny braciszek”).

Przy otwartym wyrażeniu własnych myśli, odczuć jest ważne, by w sposób konkretny przekazać partnerowi swoją opinię o jego zachowaniu, a nie – jak się to powszechnie stosuje – poddawać je szczegółowej i nagannej ocenie. Na przykład niezadowolenie żony ze zbyt nikłego – jej zdaniem – włączania się męża w opiekę nad dzieckiem może ona wyrazić dwojako. Może powiedzieć: „Jesteś niedbałym, nieczułym ojcem; masz na wszystko czas, tylko nie dla dziecka!”. A może też powiedzieć to inaczej: „Lubię, kiedy zajmujesz się naszym małym; jest mi przykro, kiedy widzę, że nie masz dla niego czasu”.

Pierwszy typ wypowiedzi, choć otwarty, ma charakter oceny negatywnej i trudno sobie wyobrazić, aby

tak formułując swoje odczucia, żona mogła wpłynąć na zmianę postępowania męża. Bardziej prawdopodobne będzie to, że mąż postanowi odeprzeć stawiany zarzut, ponieważ czuje się zaatakowany i dotknięty. A to nie pozwoli mu skoncentrować się na treści zarzutu żony, natomiast wyzwoli mechanizmy obronne; wiadomo zaś, że najlepszą formą obrony jest atak. Dlatego szybko przypomni sobie wszystkie niedociągnięcia wychowawcze żony i wytknie je w takiej formie, która najcelniej ją zrani. Przy tego typu wymianie zdań żadna ze stron nie ma szans na zrozumienie intencji partnera – nie mówiąc już o rozwiązaniu problemu, który tę wymianę zdań sprowokował. Więcej – odcinając się od możliwości przeanalizowania określonej sprawy, obie strony będą odczuwały wobec siebie złość i niechęć, pozostając w przekonaniu, że jakiegokolwiek porozumienie w ogóle jest niemożliwe.

Warto sobie tu uświadomić, że wszystkie wypowiedzi zawierające uogólnienia – nagminnie stosowane przy ocenach negatywnych – wywołują zazwyczaj odwrotny od zamierzonego skutek. Określenie typu „ty zawsze”, „ty nigdy” oraz wszystkie oceny zawierające treści pejoratywne dla odbiorcy (np. „nie masz za grosz delikatności”), czy niosące określone nakazy i zakazy: „powinieneś...”, „masz obowiązek”, „porządny człowiek tak nie robi” – nie tylko nie poprawiają sytuacji, ale przeciwnie – zaostrzają ją, stanowiąc sygnał

do wszczęcia kłótni. W jej wyniku powstają urazy, nasila się wzajemna niechęć, a nawet nienawiść.

Natomiast drugi typ wypowiedzi „jakże mi miło, kiedy zajmujesz się naszym małym; jest mi przykro, kiedy nie masz dla niego czasu” informujący o odczuciach, ale bez wyrażenia dezaprobaty, jest łatwiejszy do przyjęcia, wywołuje uczucie bliskości i zrozumienia. „Ciesz się mną, kiedy ty...”, „czuję się nieswojo, kiedy ty...”, „lubię w tobie...”, „jest mi trudno, kiedy ty...” itp. Tak sformułowane wypowiedzi są jakby „neutralne”, dlatego odbiorca może ustosunkować się przychylnie do wyrażonej w nich sugestii i wyciągnąć właściwe wnioski na przyszłość.

Uważnie biorąc udział w refleksji zauważyliście, że dialog jest prawdziwym wtedy, gdy jest inspirowany przez miłość. Dlatego chciałbym wam życzyć, aby w waszej wymianie myśli nie padło ani jedno słowo nie podyktowane przez miłość.

Miłość niech będzie bez obłudy

(Rz 12, 1-2. 9-13)

Drodzy Nowożeńcy! Wasza decyzja zawarcia sakramentu małżeństwa to akt nadziei, bo za każdą taką decyzją kryje się głębokie przeświadczenie, że mimo ewentualnych kłopotów i trudności, jakie mogą się przydarzyć, przyszłość u boku ukochanego człowieka stwarza niepowtarzalną szansę na powstanie głębokiej, uszczęśliwiającej więzi trwającej przez całe wasze wspólne życie. A co dzieje się potem? Potem okazuje się, że małżonkowie byli o krok od spełnienia się ich życiowych nadziei, a jednak zabrakło na pozór tak błahaego szczegółu, jak umieć szczerze ze sobą porozmawiać. Aby bowiem małżonkowie byli szczęśliwi ze sobą, jest rzeczą konieczną, by szczerze mówili o swoich odczuciach, jasno zgłaszali życzenia i wyraźnie precyzowali swoje niepokoje i radości. Tylko wtedy partnerzy mogą czuć się bezpiecznie. Tylko wtedy istnieje możliwość korygowania własnego postępowania zgodnie z życzeniami part-

nera. Tylko wtedy istnieje szansa podjęcia próby wytłumaczenia swojego postępowania, jeśli uważa się, że partner ocenił je niewłaściwie. Inaczej i między wami będzie rósł mur niezrozumienia, pretensji, posądzeń i wrogości, przez co wspólne życie staje się koszmarem, z którego każdy pragnie uciec. Dlatego warto dzisiaj, w dniu przyjęcia sakramentu małżeństwa, wziąć sobie do serca wskazówkę, którą dał wam św. Paweł w pierwszym czytaniu z Listu do Rzymian: „Miłość [wasza] niech będzie bez obłudy” (Rz 12, 9), a więc bez udawania i zakłamania.

Stąd musicie unikać komunikowania swoich przeżyć w sposób pośredni i ukryty. Porozumienie pośrednie następuje wówczas, kiedy człowiek wyraża własne doznania w sposób zamaskowany. Ilustracją takiego komunikowania swoich przeżyć może być przykład młodej żony, która czując się zbyt mało kochaną, usiłowała skłonić męża do okazywania jej czułości. Opowiadała mu przeto o tym, że mężowie jej przyjaciółek są niezwykle serdeczni i mili dla swoich żon. Ale to nie przyniosło efektu. Zatem pewnego dnia, kiedy mąż leżąc na tapczanie czytał gazetę, położyła się obok niego. Zgodnie ze swym sposobem bycia mąż nie zareagował na jej bliskość. Wtedy żona zaczęła kulić się, rozcierać sobie ramiona, a gdy nie dostrzegła żadnych oznak jego zainteresowania, zwróciła się do niego bezpośrednio, mówiąc:

„Wiesz, jest mi jakoś zimno”. Wtedy mąż, nie odrywając wzroku od gazety, poradził jej: „W takim razie okryj się kocem”.

Szczególnie niebezpieczne jest wyrażanie w ten sposób żalów i pretensji, jakie żywią do siebie małżonkowie. I tak na przykład mężczyzna odczuwając żal do żony za uchylanie się od zbliżeń fizycznych najczęściej nie mówi jej wprost tego, ale wynajduje inne sytuacje, które mogą stać się pretekstem do ukarania jej za to. Może to być deprecjonowanie jej umiejętności wychowawczych wobec dzieci, lekceważenie osiągnięć zawodowych, podkreślanie mankamentów jej sylwetki czy rozmyślne niezwracanie uwagi na jej nową sukienkę. Albo żona, czując wrogość do męża za to, że nie liczy się z jej potrzebami, stawia jej przesadne wymagania czy interesuje się – jej zdaniem – innymi kobietami, nie mówi mu o tym wprost, ale wywołuje umyślnie scysje, które przekształcają się w długotrwałe awantury, a przyczyną tych scysji może być dosłownie wszystko: późniejszy powrót do domu, zajęcie się majsterkowaniem, za głośne odstawienie krzesła, odwiedziny kolegi, brak apetytu itp.

Z kolei kiedy małżonkowie w ten sposób rozmawiają ze sobą, rośnie suma nieujawnionych i nierozwiązanych konfliktów oraz wrogość do tego stopnia, że w końcu małżonkowie widzą złośliwy podtekst pod każdą wypowiedzią partnera. Na przykład mąż oznaj-

mia, że w tym miesiącu trzeba ograniczyć wydatki, ponieważ zbliża się właśnie termin zapłacenia raty za samochód. A żona słyszy w tym komunikacie zupełnie inne treści. Ach, tak – myśli sobie – musimy się ograniczyć w wydatkach! To znaczy, że ja wydaję na siebie zbyt dużo pieniędzy. No, naturalnie. Chciałam sobie kupić futrzaną czapkę. Oczywiście chodzi o to, żebym przypadkiem jej nie kupiła, bo przecież ważniejszy ode mnie jest samochód. Zawsze ja mam rezygnować ze swoich potrzeb na rzecz jego przyjemności. Ja się w tym domu zupełnie nie liczę...

Natomiast ukryty sposób komunikowania swoich przeżyć następuje wówczas, kiedy przedstawiamy swoje odczucia w sposób niezgodny z ich prawdziwym stanem. Na przykład mąż proponuje, aby w najbliższą niedzielę wybrali się do jego matki na obiad. Żona zaś nie lubi teściowej i czuje, że nie jest przez nią zbyt przychylnie traktowana, ale nie chce otwarcie wyrazić sprzeciwu. Pozornie zgadza się więc na propozycję męża. Mówi: to dobry pomysł, ale wygląda na to, że w niedzielę pogoda będzie fatalna. Mąż serio traktuje zastrzeżenia żony, nie podejrzewając o ukryte intencje, toteż podejmuje dyskusję. Prognoza pogody była niezła – mówi – a poza tym weźmiemy parasol. Ponieważ pogoda nie chwyciła, ona zasłania się coraz to nowymi rzeczami: jutrzejszymi obowiązkami, nie najlepszym samopoczuciem itd.

Albo: żona odczuwając pretensje, żal do męża, stara się mu tego nie okazać, ale to nie załatwia sprawy, bo te odczucia nie przestają istnieć, ale przybierają inny kierunek – agresywność. Nic więc dziwnego, że wybuchnie kiedyś nagle z ogromną siłą i wyrzuci z siebie przerażające słowa i gesty. Przyczyną takiego zachowania będzie błaha sprawa, która sama w sobie nie ma większego znaczenia, ale dla żony tłumiącej od dawna swoje pretensje stała się przysłowiową kroplą, która przelała i tak już pełny dzban. Tymczasem jedynym sensownym rozwiązaniem jest odłożyć rozmowę na ten temat na jakiś niezbyt odległy czas, kiedy emocje wygasną i można będzie porozmawiać w sposób spokojny, w atmosferze życzliwości. Taka rozmowa oczyści atmosferę, pogłębi bliskość i zacieśni wzajemną więź.

Przeto pełen troski o wasze szczęście we wspólnym życiu, chciałem wam życzyć, abyście ze sobą zawsze rozmawiali językiem miłości a zarazem szczerze, bez ukrywania prawdziwych intencji, bez zakamuflowanej gry, by rozwiązać konflikty i wygasić agresywność.

Nie dopuście do awantury

(Mt 5, 1-12a)

Drodzy Nowożeńcy! Wbrew powszechnym wyobrażeniom nowożeńców przeżywacie jeden z ostatnich wspólnych dni niczym niezamąconej pogody. Nowa droga życia, którą dzisiaj rozpoczynacie, niesie ze sobą ogrom sytuacji konfliktowych różnego rodzaju, których nie sposób uniknąć, pomimo nawet największego starania obydwu stron. Ważne jest jednak, by nie dopuścić do awantury. A jak to wygląda, wszyscy dobrze wiemy. Jeden z partnerów wyraża swe niezadowolenie nieuprzejmością lub ostro wyrażoną pretensją. Urażony rozmówca wypowiada uwagę tonem „z góry” – i tak dalej i dalej. Coraz ostrzej wypowiadane pretensje sięgają niekiedy nie tylko wstecz, ale nawet usiłują upokorzyć przez wygarnianie wad całej bliższej i dalszej rodziny, raniąc uczucia przywiązania starsze niż miłość małżeńska, a więc głębiej tkwiące w psychice. Potem następują prymitywne wyzwiska – i jest dobrze, jeśli nie rękoczynny. Później każdy

z uczestników awantury przypomina sobie bardzo mgliście, co sam powiedział, a bardzo ostro to, co szczególnie raniącego powiedział partner. Dlatego tak długo trwają urazy i tak trudno się pogodzić. Gdy jednak dojdzie do przeproszenia i wybaczenia – pamięć – niestety – przechowuje wszystko i ileż trzeba wspomnień pozytywnych, by zatrzeć wspomnienie złe. A efekt? Po każdej takiej awanturze coraz bardziej gaśnie miłość, a rośnie liczba zadanych głęboko ran, żal do partnera, a nawet nienawiść, przez co wspólne życie staje się koszmarem nie do zniesienia. Jezus mówiąc w dzisiejszej Ewangelii: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt 5, 9) zobowiązuje nas nie tylko do tego, żeby nie rozpętywać wojen, także w tak małym światku, jakim jest rodzina, ale również wprowadzać pokój, tam gdzie już – niestety – doszło do wojny rodzinnej w postaci awantury. Oryginalne słowo Ewangelii (*makarioi*), które zostało przetłumaczone przez „błogosławieni”, znaczy „szczęśliwi”. Szczęśliwi są zatem ci, którzy wprowadzają pokój zażegnując konflikty, także w małżeństwie.

A zatem co robić, jeśli nas coś boli i uwiera w kontakcie z partnerem? Najważniejsze: poczekać aż emocje wygasną i można będzie porozmawiać w sposób spokojny, w atmosferze życzliwości. Następnie mówimy partnerowi o potrzebie porozmawiania na ten

temat i wspólnie ustalamy czas oraz miejsce rozmowy. Niedopuszczalne jest rozpoczynanie takiej rozmowy przed wyjściem partnera do pracy, w trakcie posiłku czy podczas krótkiej przerwy na wypoczynek.

Podczas właściwej rozmowy zaś nie wolno operować ogólnikami, lecz należy bardzo wyraźnie sprecyzować swoje zarzuty. Nie można np. mówić: „bo ty zawsze” lub „ty nigdy”, czyli generalizować; należy powiedzieć konkretnie co zabolowało, np. „Wczoraj zostawiłeś mnie samą na całą niedzielę i nie powiedziałeś dokąd wychodzisz”.

Wtedy druga strona wie dokładnie, co się jej zarzuca i zaczyna się bronić. Nie może tu być jednak dwóch równoległych monologów, które w żadnym punkcie się nie stykają i jedna strona nie wie, o czym mówi druga. Nie mogą także padać słowa dotyczące spraw, które dla drugiej strony są drogie, np. wytykanie wad całej rodziny partnera, lub są bolesne, np. wytykanie niskiego wzrostu, jeśli partner ciężko przeżywa ten fakt, lub słabej sprawności.

Teraz winna nastąpić zasadnicza część „konstruktywnej” kłótni. Mianowicie strona oskarżona winna przemyśleć całą sprawę i przyznać chociaż część racji temu, kto zaczął spór, mówiąc np.: „Masz rację, nie powinienem cię zostawić samej”. Następnie partner w ten sposób usatysfakcjonowany powinien powiedzieć coś miłego drugiemu, który przyznał się do

winy. Ten zaś, kto przyznał się do winy, winien zrobić wszystko, by uniknąć tego błędu w przyszłości.

Taka rozmowa jest niezbędnym warunkiem udanego życia we dwoje, bo oczyszcza atmosferę, pogłębia bliskość i zacieśnia wzajemną więź. Jeśli takich rozmów brak, nie wyrażone emocje negatywne „zalegają” z czasem w naszej świadomości i kumulują się doprowadzając do coraz to ostrzejszych napięć i w ten sposób stają się prawdziwym, przerastającym siły ciężarem. W pewnej chwili nie wytrzymuje się tego ciśnienia i dochodzi do awantury, o której mówiłem na początku.

Dlatego kończąc chciałem wam życzyć, abyście nigdy nie dopuścili do awantury w waszym domu, a zarazem wszystko, co boli i uwiera umieli zażegnać podczas rozmowy godnej chrześcijan, a więc ludzi, których motorem postępowania jest miłość.

Śmiercionośne pułapki dla waszej miłości (Rdz 2, 18-24)

Drodzy Nowożeńcy! W obliczu szczęścia, jakie przeżywacie, mogą się wydawać zbędnymi wszelkie słowa. Tym bardziej, że wasi bliscy powiedzieli wam i jeszcze powiedzą tyle miłych słów, że to powinno wam wystarczyć do jubileuszu waszego małżeństwa. A jednak ma sens chwila zadumy, bo to, co przeżywacie, może mieć różnoraki ciąg dalszy. Dwudziestopięcioletnia kobieta tak pisze: „Poznaliśmy się na studiach; była miłość od pierwszego wejrzenia i był szybki ślub (po czterech miesiącach znajomości).

On był czarujący, zachwycający i jedyny. Nasze poglądy były zachwycająco zgodne. Życie było usłane nie różami, bo te mają kolce, ale płatkami najdelikatniejszych kwiatów. Nawet z mieszkaniem nie mieliśmy kłopotów, bo po prostu miesiąc po ślubie dostaliśmy piękny pokój w akademiku. Prezent jego uczelni... Zaczęliśmy wieść bardzo beztroskie «towarzystwie» życie i... i zaczęła się klęska” (*Nas dwo-*

je, s. 103). A zadał ją alkoholizm męża. Co gorsze, tragiczny ciąg dalszy i smutny koniec tego, co się pięknie zaczyna, jest zjawiskiem coraz częstszym. Dlaczego? Bo na waszą wspólną radość czyha coraz więcej pułapek niosących śmiertelne zagrożenia dla waszej wspólnej przyszłości. Jakie są to pułapki?

Do „Famiglia Cristiana” napisała następująco jedna kobieta: „Jestem od dwunastu lat zamężna, mam dwoje dzieci, które są dla mnie wszystkim. W ciągu tych dwunastu lat między mną a moim mężem nie było nigdy zrozumienia, nigdy swobodnej rozmowy, bo on jest zmęczony, on musi mieć spokój... Szukałam jego towarzystwa, starałam się nawiązać jakiś dialog, ale dla niego istnieje tylko jedna mowa, jedyna jaką rozumie – mowa pieniądza... zastanawiam się, jak to jest możliwe, żeby człowiek mógł tak łatwo zapominać o wartościach ważniejszych, o podstawowych obowiązkach, na rzecz jednej tylko sprawy – materialnego dobrobytu” (*W dobrej i złej doli*, s. 187). Ten nigdy nienasycony głód pieniądza rujnuje coraz więcej naszych rodzin, a jest tym bardziej niebezpieczny, ponieważ często łączy się z wyjazdem za granicę na całe miesiące, a nawet lata.

Inną pułapką jest kariera zawodowa obydwu albo jednego z małżonków. W ankiecie *Moje małżeństwo i rodzina* czterdziestopięcioletnia farmaceutka napisała: “Mąż został dyrektorem budujących się zakładów

włókienniczych. Był to duży awans. Praca była bardzo odpowiedzialna i wyczerpująca. Ale to był jego żywioł, to mu naprawdę odpowiadało... (gdy) mąż zakończył budowę i w pełnej aureoli ze Srebrnym Krzyżem przeniósł się na nową budowę, do której dojeżdżał 65 km od domu... Teraz był już całkowicie pochłonięty pracą, po prostu nic innego się nie liczyło. Żadnych planów rodzinnych nie było, wszystko uzależnione było od pracy. Skończyły się wspólnie spędzane wieczory, niedziele i urlopy. Pozostała tylko jego praca i nic więcej” (*Moje małżeństwo i rodzina*, s. 466-467).

Już wspominałem o innej pułapce, mianowicie rozłące, która skutecznie niszczy nawet najbardziej udane małżeństwa. W ankiecie *Nas dwoje* tak o tym pisze jedna z małżonek: „Nasza miłość była bez załamania, bez obłudy, szczerą, oddaną. Pragnieniem była pomoc, robienie przyjemności, pociecha, współczucie, zrozumienie. Było nas naprawdę zawsze dwoje. Po ślubie, mimo iż mieszkaliśmy w różnych miastach przez trzy lata i widywaliśmy się tylko w soboty i niedziele – nie było podejrzeń, zazdrości: była praca, nauka i wielkie zaufanie. To było podstawą więzi. Wspólna modlitwa, wspólne miesięczne komunie święte cementowały nasze życie.

Po otrzymaniu mieszkania myśleliśmy, że ustabilizujemy nasze życie: dzieci, wspólna praca, rozrywki kulturalne, znajomi itp. Cieszyliśmy się najdrob-

niejszą domową inwestycją, każdym sukcesem naukowym męża, nawet propozycją wyjazdu za granicę, gdzie mąż miał pogłębić swoje wiadomości i przygotować pracę doktorską.

Po roku w nowym wymarzonym od trzech lat mieszkaniu nastąpiła znowu rozłąka. Rozłąka trwająca nie rok, jak planowano, ale dwa i pół roku – i tragiczna w skutkach. Przyniosła w efekcie doktorat mężowi, ale małżeństwu naszemu zupełny rozkład. Moje starania o wyjazd do męża za granicę skończyły się na niczym: nie otrzymałam paszportu.

Jego samotne życie «tam», nostalgia, nawał pracy, zaczęły się domagać normalniejszych warunków. I tak po półtora roku zaczęliśmy się oddalać duchowo. W jego listach zaczęło się powtarzać jedno i to samo imię kobiece. Wspólne wycieczki, codzienne spotkania, kawki, herbatki itp. wzbudzały podejrzenia z mojej strony... Efekt: po 2, 5 latach przyjechał człowiek zupełnie mi obcy – nie mąż tak bardzo mnie kochający, tęskniący na każdym kroku za mną, ale człowiek stroniący ode mnie, nienawidzący mnie, wynajdujący na każdym kroku moje wady, nie rozumiejący mojego kompletnego załamania się... Nie mogłam pojąć tego, że człowiek tak bardzo dobry, subtelny, religijny może się zmienić nie do poznania, że nic nie pozostało z naszej długotrwałej miłości... Byłam bliska obłędu, samobójstwa, schorowa-

na tym szokiem. I mimo, że minęło od jego powrotu już dwa lata, nie mogę się uspokoić. On chce rozvodu” (*Nas dwoje*, s. 199-200).

Nienasycony głód pieniądza, kariera zawodowa, rozłąka to jeszcze nie wszystkie pułapki będące śmiertelnym niebezpieczeństwem dla waszej miłości. Światłem rozjaśniającym wam dalszą drogę życia i pozwalającym się nie zagubić winno być słowo Boże z Księgi Rodzaju zawarte w pierwszym czytaniu. Otóż ukazuje ono miłość do człowieka odmiennej płci jako tajemniczy Boży dar wszczepiony w jestestwo człowieka. Jest ona tak potężną siłą, że dotychczasowe więzy rodzinne ulegają rozluźnieniu, dlatego mężczyzna i kobieta opuszczają dotychczasowe rodziny i stają się „jednym ciałem” (Rdz 2, 24), czyli doskonałą jednością obejmującą całą osobowość zarówno kobiety, jak i mężczyzny. Dzięki temu stają się bliżsi niż wszystko. I ta bliskość musi wam być droższa niż dorabianie się, kariera społeczna... niż wszystko. I o tym musicie zawsze pamiętać.

Dzięki tej wzajemnej bliskości staniecie się bliżsi niż ktokolwiek inny, nawet niż własne dziecko. Dlatego młoda żona popełnia duży błąd, gdy po urodzeniu dziecka staje się bliższa dla niemowlęcia niż męża. Centrum jej życia winien stanowić nadal mąż. Zresztą jeżeli ich więź zostanie rozluźniona, w końcu zniszczyje, nie będzie miało gniazda ich dziecko.

Niechaj będą dla was przykładem małżonkowie, którzy wzięli udział w ankiecie *Nas dwoje* i zatytułowali swoją wypowiedź „pierwsza nagroda”. On, trzydziestodwuletni mężczyzna, tak pisze: „Ileśmy się nasłuchali, że durnie robimy, że powinniśmy dzieci podzucić rodzinie, a żona winna pójść do pracy, że nie po to studiowała, aby teraz sterczeć między garami, że i pieniędzy byłoby więcej itp.

A my jednak twardo po swojemu chowamy je sami i wcale z tego powodu nie czujemy się pokrzywdzeni przez los, a wręcz odwrotnie, jest w tym wiele zadowolenia, uciechy i szczęścia. Raczej dziwimy się tym rodzicom, którzy – nieraz nie determinowani jakąś koniecznością – z tych przyjemności rezygnują. Nie oznacza to wcale, że dzieci przesłaniają nam siebie. Bynajmniej – wszyscy wokół, a i nasza starsza pociecha także, wiedzą o tym i widzą, że przede wszystkim trzęsiemy się o siebie i kochamy się – my, pięcioletni małżonkowie. Trudno to sprecyzować, bo przecież dzieci są nam bardzo, bardzo drogie, jedyne i najukochańsze, ale jednak czujemy, że przede wszystkim ja kocham żonę, a ona mnie. Strasznie lubimy gdzieś wyrwać się sami. Teraz jest to trudne, bo możliwe jedynie wówczas, gdy ktoś z rodziny się zlituje i na jakiś czas przyjdzie... I wcale nam wówczas nie idzie o pójście tam czy ówdzie... Najważniejsze jest to, że jesteśmy razem – a gdzie, to już sprawa drugorzędna” (*Nas dwoje*, s. 77-78).

Spis treści

Boży plan małżeństwa (Rdz 2, 18-24; Mt 19, 3-6)	
Małżeństwo sakramentem (Ef 5, 2a. 25-32)	1
Gody w Kanie (J 2, 1-11)	1
Aż do końca życia (Mt 19, 3-6)	2
Szczęście w małżeństwie a religijność (Tb 8, 5-10; J 15, 9-12)	2
Recepta na szczęście w małżeństwie (J 15, 9-12)	3
Życiowa strategia małżonków (Mk 10, 6-9)	3
Miłość zadaniem (J 15, 12-16)	4
Dojrzewanie miłości (1 Kor 12, 31 – 13, 8a)	4
Jak śmierć potężna jest miłość (Pnp 2, 8-10. 14. 16a; 8, 6-7a)	5
Sztuka pielęgnowania uczuć (Rdz 24, 48-51. 58-67)	5